PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 363661

magazyn 997 kryminalny

NR 8 (1903) ● 21 IV 1991 ● CENA 2500 ZŁ

- TAJEMNICA ŚMIERCI G. PRZEMYKA
- SŁUŻBA FRANCUSKICH POLICJANTÓW
- FENOMEN JAROCINA
- ŚCIŚLE TAJNE – OSTASZKÓW
- KSIĄŻĘ OSZUSTÓW
- WŁOCŁAWSKIE „LEŻAKI"
- ŚLADAMI ZBRODNI

8
1991

zdj. Krzysztof Mokrzyszewski i Krzysztof Potocki

To nie jest Ameryka! Policjanci polscy strzelają coraz częściej (rubryka „Policja informuje"). Z reguły zgodnie z prawem, najczęściej w obronie własnego życia. Już wkrótce artykuł o planach przezbrojenia polskiej Policji.

PYTANIA DO MINISTRA HENRYKA MAJEWSKIEGO

Relacje z pierwszej konferencji prasowej ministra spraw wewnętrznych dr. Henryka Majewskiego, która odbyła się 4 kwietnia br., ukazały się w codziennej prasie znacznie wcześniej, niż mógł przekazać „MK 997" i chwała prasie za to, bo rzetelnie poinformowała o poruszanych na konferencji sprawach. Informowano również o spotkaniu ministra spraw wewnętrznych z dziennikarzami w telewizyjnych „Wiadomościach", ale żeby nikt nie posądzał telewizji o rozpieszczanie Policji, wieczorem uraczono widzów programem dodatkowym z udziałem senatora, posła, pani bufetowej, prywatnego detektywa i paru spłoszonych policjantów, którzy do końca nie mogli się zorientować, po co ich zaproszono. Ten program był po prostu stratą czasu i pieniędzy na telewizyjny temat.

Ale wróćmy do konferencji z ministrem. Poruszono na niej:

Sprawy kadrowe

— Nie będzie ponownej weryfikacji funkcjonariuszy UOP i policjantów — poinformował minister. Przeprowadzane będą natomiast systematyczne oceny kwalifikacyjne dotyczące fachowości służb, znajomości prawa oraz stosunku do społeczeństwa po to, aby wzrastający powoli prestiż Policji i UOP nie uległ niekorzystnym zmianom.

Minister stara się o powstrzymanie odpływu starszych, doświadczonych pracowników. Ciągle bowiem więcej osób z Policji odchodzi niż przychodzi, przyczyną tego są zapowiadane zmiany przepisów emerytalnych i niskie uposażenie.

Przestępczość

Wzrasta zarówno w wielkich miastach, jak i w małych ośrodkach. W tych drugich wykrywalność przewyższa jednak 70 proc. Żeby zapobiec fali przestępczości, resort będzie starał się, by komisariaty pracowały całą dobę, by dochodzeniowcy zostali odciążeni od nadmiernej pracy papierkowej, by na ulicach było więcej patroli policyjnych. Minister zapowiedział odtworzenie wydziałów do zwalczania przestępczości gospodarczej. Zwracał uwagę na niebezpieczeństwa, które spowodować może zniesienie wiz i napływ uchodźców ze Wschodu.

Pytań było bardzo dużo. O wizytę Ojca Świętego i przygotowania do zabezpieczenia Jego pobytu. O to czy nadal w resorcie będzie obowiązywać „gruba kreska" np. wobec Polaków pracujących dla KGB, agentów byłego systemu lub osób odpowiedzialnych za tworzenie w Polsce obozów szkoleniowych dla terrorystów?

Jeśli nie mamy dowodów — odpowiedział minister — tak. Jeśli mamy — obowiązywać będzie normalne postępowanie karne.

Czy w Polsce jest rezydent KGB? — pytano

— Przed miesiącem zakończyła się legalna działalność KGB, a generał Smirnow powrócił oficjalnie do statusu dyplomatycznego — poinformował minister.

Pośród wielu pytań i wypowiedzi, jakie padały z zatłoczonej sali, kilka było zaskakujących. Redaktor Wanda Falkowska — członek Komitetu Helsińskiego, autorka artykułu „48 godzin na Policji", domagała się w audycji „100 pytań do premiera Bieleckiego" rozliczania Policji za bicie zatrzymanych, tym razem wystąpiła z wnioskiem o podwyższenie uposażeń policjantów podkreślając ryzyko związane z wykonywaniem tego zawodu.

Redaktor tygodnika „Nie" zainteresowany był tym, czy Policja przygotowana jest do ścigania kobiet, które dokonają, po wejściu w życie ustawy o aborcji, zabiegu przerywania ciąży.

Było również pytanie kuluarowe, a dotyczyło redaktora Przysieckiego, który poskarżył się w czasie audycji „100 pytań" premierowi na komendanta głównego, zezwalającego wyłącznie rzecznikom prasowym na udzielanie informacji. Dociekliwi dziennikarze chcieli ustalić, za jakie to szczególne zasługi dla resortu spraw wewnętrznych redaktor Przysiecki, przed kilku laty, otrzymał nagrodę ministra spraw wewnętrznych, kto wówczas i jakich udzielał mu informacji?

Niestety, odpowiedzi nie udało się uzyskać, bo spece od propagandy z poprzedniej epoki nie przychodzą dziś na Rakowiecką.

ECA

ŚMIERĆ GRZEGORZA PRZEMYKA

WZNOWIONE ŚLEDZTWO

Grzegorz Przemyk, 19-letni maturzysta XVII Liceum Ogólnokształcącego im. F. Modrzewskiego w Warszawie, po sadystycznym pobiciu, umierał w męczarniach przez prawie trzy dni. Konającemu przyglądało się w różnych momentach wielu ludzi, których większość każdym swoim czynem lub biernością przyspieszała jego zgon. Jedni byli nieświadomi dziejącego się nieszczęścia; dla drugich skatowany Grzesiek był kimś niewygodnym, a nawet, od 12 maja 1983 r., kiedy to trafił do XVIII Komisariatu MO przy ul. Jezuickiej, stanowił zagrożenie.

Na wieść, iż w dwa dni później w śródmiejskim szpitalu przy ul. Solec, gdzie Grzegorz Przemyk znalazł się dzięki usilnym staraniom matki — Barbary Sadowskiej, mimo wysiłku chirurgów, nastąpił finał jego młodego życia, w wielu gabinetach ówczesnych prominentów rozdzwoniły się telefony. Rozpoczęły się gorączkowe narady, padały pośpiesznie wydawane decyzje.

Przyczyny alarmu w kierowniczych kręgach MSW i KG MO, a następnie w partyjnym „białym domu", wyjaśniły pośrednio zachodnie mass media i polskojęzyczne rozgłośnie radiowe. Świat, w tym również polska opinia publiczna, dowiedział się bowiem, że „w Warszawie w wyniku bestialskiego pobicia przez milicjantów w staromiejskim komisariacie zmarł uczeń liceum — Grzegorz Przemyk". Jakie wrażenie wiadomość ta wywarła na otrząsającym się jeszcze z ponurej rzeczywistości stanu wojennego społeczeństwie, nie trzeba przypominać. Tragedia ta świadczyła jednoznacznie, że — mimo szumnych deklaracji ówczesnych władców Polski — bezprawie i samowola tzw. organów porządku publicznego nie tylko nie ustały, ale przybrały zupełnie zwyrodniałą formę. W myśl maksymy „atak jest najlepszą obroną" komunistyczne centrum decydenckie postanowiło wobec takich nastrojów zadać kłam informacjom „zachodnich środków dywersji politycznej". W tym celu powołano specjalny sztab, w skład którego weszli wyżsi funkcjonariusze KC PZPR, MSW, SB i MO. O przebiegu i postępie swoich prac sztab informował na bieżąco najwyższych dostojników partyjno-rządowych.

Na czym owe „prace" polegały? Specjalna grupa zajmująca się działalnością propagandową miała zdeprecjonować wiadomość, że Grzegorz Przemyk zmarł na skutek skatowania przez milicjantów. W prasie i RTV pojawiły się publikacje negujące wersję pobicia przez milicjantów i sugerujące, że prawdopodobnie uczynili to sanitariusze Pogotowia Ratunkowego, którzy odebrali Grzesia z komisariatu przy ul. Jezuickiej. Równolegle sztab, poprzez powołane spec-grupy, podjął inną, bardziej wyrafinowaną i nikczemną robotę: preparowania dowodów popierających tę tezę i urabiania świadków za pomocą niedopuszczalnych w świetle prawa metod.

Nikt w tamtych dniach nie przypuszczał nawet, że po to, aby śledztwo, a następnie sam proces sądowy przyniosły oczekiwany przez rządzącą elitę rezultat; zaangażowano, bezpośrednio lub pośrednio, setki funkcjonariuszy SB i MO, nie tylko w stolicy. Każdy sporządzony przez nich protokół, plan działania, sprawozdanie, notatka służbowa nosiły oznakowanie „Tajne", a częściej „Tajne — spec. znaczenia" z numerem egzemplarza i rozdzielnikiem odbiorców — nie muszę dodawać, że ich krąg był bardzo wąski. Tego rodzaju oznaczenia nadaje się tylko dokumentom o najwyższym dla państwa znaczeniu. „Sprawę Przemyka" do takich zaliczono...

Wspomniana wcześniej i usilnie lansowana wersja o niewinności milicjantów, a winie sanitariuszy, nie była jedyną, która miała zdezorientować społeczeństwo. Zanim się na nią zdecydowano — rozważano ewentualność karmienia opinii publicznej podejrzeniem, że Przemyka, jeszcze przed zabraniem go na komisariat, pobili jego pijani lub będący pod wpływem narkotyków koledzy, z którymi był na Starym Mieście. Ze względu na trudności z ewentualnym przygotowaniem fałszywych świadków takiego wyimaginowanego zdarzenia z wersji tej zrezygnowano. Również odrzucono rozważaną wersję sugerującą, że śmiertelne urazy Grzesiek otrzymał... podczas krótkiego pobytu w domu, dokąd przewieziono go na żądanie matki z pogotowia na Hożej.

Niezależnie od oczywistych kpin z obowiązującego prawa i wymiaru sprawiedliwości, oburzenie musi wywoływać cynizm, z jakim ludzie sprawujący wówczas władzę w Polsce, bez wahania skłonni byli, na podstawie sfabrykowanych „dowodów", doprowadzić do skazania i uwięzienia osób postronnych, zupełnie niewinnych. Ten fakt, w połączeniu z misternie utkaną siatką kłamstw i intryg, stosowaniem szantażu, wymuszeń, podsłuchów telefonicznych, inwigilacji, podglądu mieszkań, otwieraniem prywatnej korespondencji, tajemniczych pobić na ulicy świadków mających występować w procesie, ich bezpodstawnych zatrzymań w areszcie MO, powoduje refleksję, że w „sprawie Przemyka" wykorzystano cały arsenał środków tak bardzo przypominających te, które były chlebem powszednim bezpieki okresu stalinowskiego. Nie jest to stwierdzenie gołosłowne, znajduje uzasadnienie w ujawnianych ostatnio faktach. Potwierdzają one niezbicie, że wymienione wcześniej „przedsięwzięcia" esbecko-milicyjne miały charakter działań pozaprocesowych. Prowadzono je przed i w trakcie procesu w maju, czerwcu i lipcu 1984 r. Mówią o tym nie tylko ujawnione dokumenty, ale najnowsze zeznania świadków, spośród których wielu w tego rodzaju działaniach uczestniczyło.

Piszę „najnowsze", ponieważ na złożony w czerwcu ub.r. przez prokuratora Józefa Gurgula wniosek Sąd Wojewódzki w Warszawie wyrokiem z 29 czerwca 1990 r. orzekł wznowienie postępowania sądowego i uchylenie wyroku z 16 lipca 1984 r. w części dotyczącej oskarżonych Michała Wiesława Wysockiego i Jacka Romana Szyzdka (wówczas pracowników Pogotowia Ratunkowego) oraz Ireneusza Dariusza Kościuka i Arkadiusza Andrzeja Denkiewicza (funkcjonariuszy MO). Postanowieniem tegoż sądu akta sprawy ww. oskarżonych zwrócone zostały prokuraturze do uzupełnienia śledztwa.

Od sierpnia ub.r. wznowione śledztwo prowadzi prokurator Błażej Sobierajski z Ministerstwa Sprawiedliwości. Za zgodą I zastępcy prokuratora generalnego RP — Aleksandra Herzoga, udostępnił on przedstawicielowi „MK 997" akta omawianej sprawy oraz przystał na zrelacjonowanie przebiegu dobiegającego końca, żmudnego, wielomiesięcznego śledztwa. W jego trakcie prokurator B. Sobierajski przesłuchał dziesiątki osób oraz zapoznał się z całością utajnionych przez MSW i KG MO dokumentów przekazanych prokuraturze przez ówczesnego ministra Krzysztofa Kozłowskiego.

Niniejszy tekst stanowi więc w zasadzie wstęp do długiej rozmowy z prokuratorem Sobierajskim (publikować ją będziemy w odcinkach w kolejnych numerach „MK 997"). Starałem się w nim odsłonić w ogólnych zarysach starannie przez lata ukrywane prawdziwe, nie mające nic wspólnego z elementarnymi zasadami praworządności i ochrony praw człowieka, [illegible] „sprawy Przemyka".

LESZEK J. SROKA

Fragment pierwszej strony wniosku o wyróżnienie funkcjonariuszy SB i MO „za włożony wysiłek, pełne zaangażowanie, wykazanie wysokiej odpowiedzialności, inwencję i osiągnięte efekty" w „sprawie Przemyka" przedłożonego generałowi Kiszczakowi przez zastępcę komendanta głównego MO — gen. bryg. J. Grubę. Ówczesny minister spraw wewnętrznych własnoręcznie na nim napisał: „Zgoda, dziękuję, wstęp krótki — nie dekonspirujący naszego zaangażowania pozaprocesowego". Data: 30 sierpnia 1984 r.

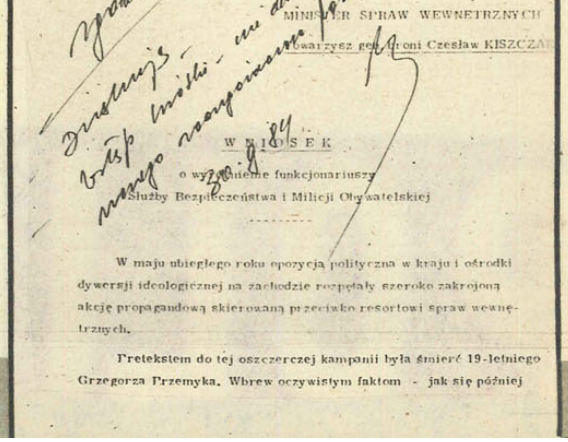

ZASTĘPCA KOMENDANTA GŁÓWNEGO MO — Warszawa, dnia 29 sierpnia 1984 roku

DII-45/84

Zgoda
Dziękuję
Wstęp krótki - nie dekonspirujący naszego zaangażowania

MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH
Towarzysz generał armii Czesław KISZCZAK

WNIOSEK
o wyróżnienie funkcjonariuszy
Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej

W maju ubiegłego roku opozycja polityczna w kraju i ośrodki dywersji ideologicznej na zachodzie rozpętały szeroko zakrojoną akcję propagandową skierowaną przeciwko resortowi spraw wewnętrznych.

Pretekstem do tej oszczerczej kampanii była śmierć 19-letniego Grzegorza Przemyka. Wbrew oczywistym faktom - jak się później

Z ZEZNAŃ ŚWIADKÓW WE WZNOWIONYM ŚLEDZTWIE

(...) Pod celą, w której był Wysocki, przez 24 godziny na dobę przebywała grupa pilnujących go funkcjonariuszy. Przez cały czas w celi paliło się światło. Na skutek wszystkich tych działań milicji Wysocki przyznał się do wersji sugerowanej mu przez milicjantów. Po tym przyznaniu u Wysockiego nastąpiło znaczne pogorszenie stanu psychicznego, czego efektem była próba somobójstwa. Osobiście ratowałem go... (świadek Leszek W. 20 lutego 1991 r.).

(...) Celem tych rozmów (z milicjantami przebywającymi w trakcie zatrzymania G. Przemyka w Komisariacie MO przy ul. Jezuickiej — przyp. LJS) było ustalenie, czy wymienieni w notatce milicjanci nie zmienią swych wyjaśnień i zeznań w sprawie G. Przemyka. Jak pamiętam, istniała obawa ze strony przełożonych, że po powrocie tych milicjantów do swych środowisk mogą oni ulec wpływom różnych środowisk w celu pokazania w złym świetle resortu i stanu f a k t y c z n e g o (podkreślenie — LJS)... Notatka (zeznanie świadka po okazaniu mu opracowanego w Biurze Dochodzeniowo-Śledczym KG MO dokumentu — przyp. LJS) była sporządzona na zapotrzebowanie „sztabu" sprawy w MSW. Celem wskazania „prawidłowo dobranych prokuratorów" było to, aby prokuratorzy, którzy będą dalej prowadzić tę sprawę, czynili to w wygodnym dla resortu kierunku, a tym samym, w maksymalny sposób uchronili milicjantów(..) Twierdzę, że gdyby sami prokuratorzy przesłuchiwali Szyzdka i Wysockiego, to nie uzyskaliby materiałów ich obciążających (...) (świadek Zbigniew S. 6 grudnia 1990 r.).

(...) Potwierdzam (zeznanie po okazaniu świadkowi „Decyzji Ministra Spraw Wewnętrznych z 25 maja 1984 r." sygnowanej klauzulą tajności „Tajne, egz. nr...", podpisanej przez generała Cz. Kiszczaka — przyp. LJS) w szczególności fakt, że zawarte w pkt. „d" polecenie i zadanie tej grupy co do współpracy z obrońcami polegało na bieżącym przekazywaniu im informacji, uzyskiwanych przez służby operacyjne, dotyczących przebiegu [illegible]su i tego, co mogło ich interesować... (świadek Wiesław L. 1 października 1990 r.).

(...) W tym czasie w Komendzie Głównej, zanim „wszedłem" w sprawę, powołano specjalną grupę pod kierownictwem komendanta głównego MO generała Beima(...) W działaniach tej grupy brali udział przedstawiciele MSW z Departamentów II, III, IV oraz człowiek z nasłuchu, przypuszczalnie z Dep. II. W czasie kiedy Beim był na urlopie, grupą kierowali jego zastępcy, początkowo Cwiek, a następnie Gruba(...) Podstawowym i jedynym zadaniem tej grupy była obrona milicjantów przed zarzutem spowodowania śmierci Grzegorza Przemyka. (...)Otrzymałem również zadanie uzyskania informacji co do toku prowadzenia spraw o podobnym charakterze i wydźwięku politycznym, jak sprawa G. Przemyka, jak również przekazywania informacji o sprawach, które pośrednio wiązały się z tą sprawą. Były to: sprawa uprowadzenia Cejrowskiego — ucznia szkoły, do której uczęszczał Przemyk, sprawa napadu na członków Komitetu Prymasowskiego w kościele św. Marcina, gdzie poszkodowaną była m.in. Sadowska (matka Grześka — przyp. LJS) i Federowicz.(...) Były też sprawa pobicia red. Marka Lewickiego, sprawa pobicia Wita Drapicha, sprawa dezercji żołnierza MO Bielińskiego oraz na końcu w sprawie przeciwko dwóm załogom karetek Pogotowia Ratunkowego.(...) Podczas uczestniczenia w naradach grupy zorientowałem się, że zarówno u Barbary Sadowskiej w Warszawie, jak i u Cezarego Filozofa w Radomiu założony był podsłuch.(...) Ustalenia co do tych osób były następujące: doprowadzą do wcielenia Filozofa do wojska, w tym celu były prowadzone rozmowy z WSW. Po tym miała być zastosowana praca operacyjna. Prokurator Pracki, w porozumieniu z KC PZPR, miał być odwołany ze stanowiska zastępcy prokuratora generalnego i skierowany do Instytutu Problemów Przestępczości. Mecenas Bednarkiewicz miał być aresztowany na wniosek Biura Śledczego MSW za [illegible]anianie do dezercji Bielińskiego. Mec. Sila-Nowicki miał [illegible] zabraną legitymację adwokacką ze względu na podeszły w[illegible]. (...) W listopadzie lub grudniu 1989 r. płk O. wydał polecenie, by przeprowadzić rozmowę z funkcjonariuszami Komendy Stołecznej, którzy brali jakikolwiek udział w sprawie G. Przemyka, by ci, w czasie ewentualnych przesłuchań przez prokuratora, zasłaniali się brakiem pamięci. W tym celu w Biurze Dochodzeniowo-Śledczym sporządzone zostały wykazy tych funkcjonariuszy... Wiem również, że płk O. wydał polecenie ppłk. L.P., by wytypował dokumenty akt w sprawie Przemyka do zniszczenia. L.P. wytypował 10 tomów. Nie zdołano ich zniszczyć... (z zeznań świadka J.K. 9 sierpnia 1990 r.).

(...) Działanie tej grupy (propagandowej — przyp. LJS) polegało na kontroli wszystkich publikacji związanych ze sprawą G. Przemyka i akceptacji bądź odrzuceniu tych publikacji. W pracach tego zespołu nastąpiła intensyfikacja po rozpoczęciu rozprawy przed sądem. Jeszcze przed rozprawą poszedłem do generała Beima i powiedziałem mu, że, moim zdaniem, sprawa nie ma charakteru politycznego, natomiast ten charakter polityczny my nadajemy przez niewspółmierne rozdmuchanie, a nawet udział w niej i zainteresowanie najwyższych czynników państwowych i partyjnych. Powiedziałem mu również, że korzystniejsze dla nas byłoby doprowadzenie do skazania dwóch lub trzech sadystów, którzy spowodowali śmierć G. Przemyka, niż walka z argumentami opozycji... Pamiętam, że generał Beim powiedział mi, że nie może dopuścić do skazania funkcjonariuszy MO za zabójstwo G. Przemyka, gdyż spowodowałoby to poważne konsekwencje dla resortu... W czasie rozprawy odbywały się prawie codzienne odprawy, na których omawiano przebieg rozprawy i jej wyniki, rozpatrywany był materiał do publikacji i kreślono dalsze plany. W jednym wypadku w odprawach tych brał udział generał Milewski, wielokrotnie Główczyk (podobnie jak gen. Milewski, członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR — przyp. LJS), wiceminister Skóra i chyba ze dwa razy Urban. Pamiętam, że pod koniec procesu, po zakończeniu przewodu sądowego, zameldowałem się u ministra Kiszczaka i podczas spotkania powiedziałem, że w tej sprawie zbliżamy się do katastrofy, polegającej na tym, że najprawdopodobniej nikt z oskarżonych nie zostanie skazany za pozbawienie życia G. Przemyka... Minister zdenerwował się, chciał nawet zadzwonić do Jaruzelskiego, ale powstrzymałem go, stwierdzając, że zaczekamy dwa lub trzy dni... (fragmenty zeznań R.Z. 13 grudnia 1990 r.).

„POLICJANCI I..." — „Debata" w TV

RACHITYCZNA DEBATA

Telewizyjna „Debata" 4 kwietnia br. miała tytuł, czy też hasło: „Policjanci i..." Drugim członem jest zwykle słowo — złodzieje. Organizatorom „Debaty" chodziło jednak zapewne o szerszy kontekst. Pragnęli, by policjanci, którzy stanowili dość dużą grupę uczestników, wyrazili nie tylko swój pogląd na kwestię „czy Polak może czuć się dziś bezpiecznym?".

Prowadzący „Debatę", jak się wydawało, usiłował skłonić przedstawicieli Policji do przedstawienia różnych czynników, utrudniających efektywność i skuteczność działań w zwalczaniu wciąż rosnącej przestępczości. Społeczeństwo ma prawo wiedzieć dlaczego, np. w Warszawie oraz w innych aglomeracjach kraju, wykrywalność w niektórych kategoriach przestępczości wynosi zaledwie 20 lub 30 procent. Ludzie chcieliby zrozumieć co z policyjnego punktu widzenia, oznaczają te liczby?

Tego jednak się nie dowiedzieli, mimo tak licznej reprezentacji profesjonalistów z różnych szczebli jednostek Policji, którzy raz jeszcze dali dowód na to, że lepiej wypadają w starciach z przestępcami, niż z adwersarzami.

Słuszny był więc głos dr. Lecha Falandysza, stwierdzający m.in., że w prasie, radiu i telewizji policjanci występują w roli profesjonalnych płaczek, zamiast posługiwać się racjonalnymi argumentami. Wyręczył przedstawicieli Policji również przekonywająco senator Zbigniew Romaszewski, odwołując się do porównań z Europą Zachodnią.

A policjanci wypadli, po prostu, słabo. Między innymi dzięki obrotności i elokwencji szefa jednego z biur detektywistycznych w Warszawie. Pan ten w sposób znakomity zadbał o reklamę swych usług i pośrednio funkcjonariuszy Policji, których, jak twierdził, u siebie zatrudnia. Społeczeństwo otrzymało niezbyt zachęcający obraz: policjanci w służbie są na ogół mało sprawni lub wręcz nieudolni, a ci sami policjanci zatrudnieni na umowach lub ryczałtach w biurze detektywistycznym — to orły!

Tym w służbie dokładały jeszcze dwie przedsiębiorcze panie z Pragi-Północ, właścicielki czy też ajentki zakładów gastronomicznych. Pracę funkcjonariuszy Policji tej dzielnicy oceniły one na podstawie tego, co dzieje się w ich lokalach. Oznajmiły, że policjanci rzadko do ich placówek zaglądają, a jak przychodzą, to nie interweniują. Niektórzy, wzywani telefonicznie przez właścicielki, wprawdzie biorą tych z marginesu za kołnierze do radiowozu, ale ku zgorszeniu pań-właścicielek, puszczają ich zaraz na wolność. Obydwie panie zapomniały, iż za porządek w swych lokalach odpowiadają przede wszystkim one same, policjanci zaś interweniują jedynie w przypadkach drastycznych, takich jak bójki lub niszczenie mienia. Istnieje ponadto dobra i sprawdzona od dawna profesja wykidajłów, o których zabiega każdy szanujący się lokal.

W sumie problematykę bezpieczeństwa obywateli ujrzeliśmy, jak sądzę, w niewłaściwych płaszczyznach i wymiarach.

EDWARD NOWAK

BEZRADNI POLICJANCI

Tego dnia (4 kwietnia 1991 r.) Policja znalazła się w telewizji dwukrotnie. Po raz pierwszy — pośrednio — w związku z konferencją prasową ministra spraw wewnętrznych dr. inż. Henryka Majewskiego, po raz drugi — całym plutonem — w programie „Debata". Występ pierwszy uznać należy za udany. Występ drugi okazał się blamażem.

Przypomniał mi on, podobnie zresztą jak sama formuła „Debaty", pamiętne dla wielu ubiegłoroczne (16 lutego 1990 r.) „Studio otwarte", gdy grupa milicyjnych wówczas jeszcze związkowców dokopywała przełożonym, esbekom i podlizywała się nowej władzy. Wydawało się wtedy, że tylko patrzeć, jak odnowiona Policja weźmie się do roboty. Zdaje się nawet, że padały w tej kwestii deklaracje.

Policjanci w „Debacie" pokazali się w schludnych już zmodernizowanych mundurach i to jest, moim zdaniem, największy plus ich obecności w telewizji. Gdyby miała ona (obecność, nie telewizja) charakter dekoracyjny, wszystko jeszcze byłoby dobrze. Rzymskie przysłowie mówi: „Gdybyś się nie odezwał, uchodziłbyś nadal za filozofa". Właśnie.

Poddani ostrym, acz usprawiedliwionym atakom drugiej strony, przygnieceni autorytetem parlamentarzystów i szefów prywatnych firm detektywistycznych, policjanci od pierwszych minut telewizyjnego meczu zepchnięci zostali w defensywę. Ich drużyna grała niemrawo, bez koordynacji, ich podania okazywały się niecelne, a piłka przeciwników często wpadała do policyjnej bramki.

W rezultacie „zabezpieczacze bezpieczeństwa" spływali potem nie zyskując jednak aplauzu ani tym bardziej przychylności ze strony adwersarzy. Co najwyżej — współczucie. Na szczęście mecz wcześniej był trochę „shandlowany". Nie dziwię się więc, że najlepszy w drużynie policjantów okazał się grający oficjalnie z drugiej strony boiska... senator Romaszewski.

Bezradność Policji na ulicach owocowała w telewizyjnym studio brakiem ofensywności. Nieumiejętnością argumentowania, mówieniem na temat w sytuacjach zilustrowanych przypowieścią o dziadzie i obrazie.

Stare policyjne wygi zapewniały wprawdzie, że są entuzjastami swojej pracy, groziły, że odejdą, jeśli pogorszą się warunki, odpychały od siebie odpowiedzialność za niską jakość służby, lecz w żaden sposób nie potrafiły przekonać, że są kompetentne i chętne do roboty.

Po ubiegłorocznym „Studiu otwartym" funkcjonariusze skarżyli się, że nie dopuszczono ich do głosu, że manipulowano wypowiedziami, że ustawiano na spalonym. Sądzę, że i po ostatniej policyjnej „Debacie" utyskiwań i lamentów znów usłyszymy sporo. Tymczasem trzeba przyznać się do porażki i zastanowić, co robić, żeby w kolejnym starciu nie dać się obezwładnić. Z ławki rezerwowych medytuję, czy nie czas również zmienić drużyny, w której część zawodników zdradza objawy przetrenowania częstymi występami.

MARCET

GAZETA policyjna

Wkrótce w sprzedaży 9 numer „Gazety Policyjnej". Polecamy w nim:

● Wywiad z ministrem spraw wewnętrznych Henrykiem Majewskim. ● Relacja z wizyty w Anglii. ● Reportaż „Policjant w rozterce" – błędy w podejmowaniu interwencji. ● Tarnowskie bez lokalnej – reportaż. ● Prokurator o Policji. ● Języki sekretne. ● Porady prawne. ● Kryminały.

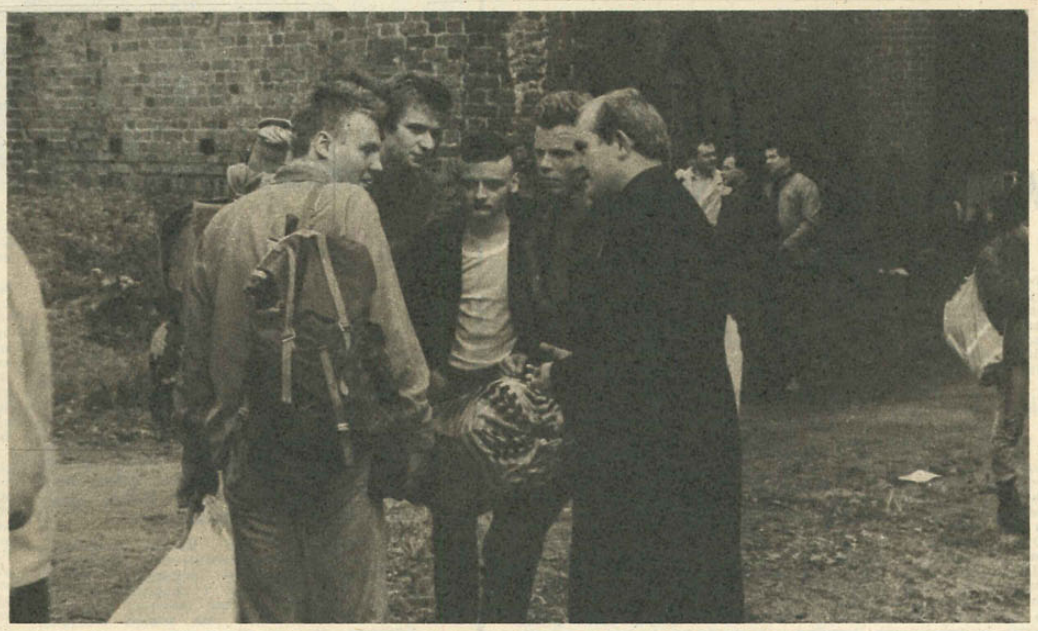

MŁODZIEŻOWE PODKULTURY

FENOMEN JAROCINA

Apogeum zainteresowań Festiwalem Muzyków Rockowych w Jarocinie miało miejsce w drugiej połowie 1986 roku. Złożyło się na to kilka czynników. Pierwszym było autentyczne zainteresowanie rockiem oraz powstającymi wciąż nowymi kapelami młodzieżowymi, które prezentowały interesującą muzykę i teksty. Drugim czynnikiem były niewątpliwie głośne zadymy między antagonistycznymi podkulturami młodzieżowymi, których ugrupowania przyjeżdżały do Jarocina na kolejne rozrachunki. Trzeci czynnik to wydarzenie, które miało miejsce w nocy z 1 na 2 sierpnia 1986 roku. Otóż na miejscowym cmentarzu grupa satanistów otworzyła grobowiec, wyjęła trumnę i odprawiła „czarną mszę".

Dziesięcioletnie obserwacje przyjeżdżającej na festiwal młodzieży, występujących kapel, prezentowanej muzyki i tekstów — skłaniają do refleksji o zainteresowaniach i problemach wielu środowisk młodzieżowych. Teksty piosenek śpiewanych w Jarocinie w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych miały niejednokrotnie charakter polityczny. Na jarocińskiej scenie śpiewano to, na co cenzura nie wyrażała zgody na innych koncertach. Zresztą zdarzało się, że organizatorom przedstawiano teksty, które na scenie ulegały spontanicznym zmianom. Można było wiele odreagować.

W dalszym ciągu w Jarocinie śpiewa się „fajne" teksty krytyczne. Jednakże obecnie można sobie pozwolić na więcej niż w latach ubiegłych. Pozostaje wciąż modna punkowa negacja świata, lecz wyrażane są opinie, że festiwal staje się normalny. Dlatego „spęd" do Jarocina znacznie się zmniejszył. Wyrażało się to także w głosowaniu publiczności. Jeśli w poprzednich latach na ulubione zespoły głosowało 30% publiczności, to ostatnio głosowało tylko 15% uczestników.

Publiczność napływa zresztą w mniejszej liczbie. Jeśli w 1988 roku przyjechało około 18 tys. uczestników, a w 1989 r. około 12 tysięcy, to w 1990 r. już tylko około 8 tysięcy osób. Nie przeszkadza to, by na dużej scenie występowali wszyscy liczący się muzycy rockowi. Sukcesywnie zbierali tam oklaski „Obywatel GC" (laureat Jarocina), czyli Grzegorz Ciechowski, Tadeusz Nalepa i Czesław Niemen („Dziwny jest ten świat"), Martyna Jakubowicz i Stanisław Sojka, a w 1990 roku Tomasz Lipiński i Marek Piekarczyk oraz kapele: „Big Cyc", „Chłopcy z Placu Broni", „Reds", „Turbo", „Armia" i inne.

Wydarzeniem Jarocina '90 była niewątpliwie kapela „Big Cyc". Śpiewane przez nią teksty to swoista mieszanka zawierająca wiele ładunku polityczno-obyczajowego. Ich 12 hitów w stylu lambada hardcoore uwiecznionych zostało na płycie: „Z partyjnym pozdrowieniem — Big Cyc". Z okładki poważnie spogląda Lenin z punkowym pióropuszem. Natomiast teksty, prezentowane także w Jarocinie, są różnorodne od „Berlina Zachodniego" i „Kontestacji", która jest naigrawaniem się z fanów rocka, po „Orgazm" i „Balladę o smutnym skinie", których ostatnio w Jarocinie zabrakło, był to generalny zjazd punków, a zatem o wiele spokojniejszy klimat i atmosfera wokół festiwalu.

Laureat poprzedniego festiwalu „Proletariat" także wyżył się na fanach rocka śpiewając „Rewolucji ogień zgasł, wszyscy w dupie mają nas". Chodziło tu nie tylko o wciąż aktualną kontestację młodzieży, ale przede wszystkim o nawiązanie do aktualnie osłabionego sprzeciwu, buntu i negacji, których tak dużo było w festiwalach po stanie wojennym.

Wszystkie koncerty w Jarocinie odbywają się pod gołym niebem. Zachowanie uczestników jest różnorodne: od zadumy i powagi, przez spontaniczne okrzyki, śpiew i taniec aż do brutalnego (jak się wydaje) tańca punków „pogo" i „zadymy", czyli potyczek pomiędzy poszczególnymi grupami podkultur młodzieżowych np. punki—skini.

Na zakwaterowanie dla zespołów i gości przeznaczone są miejscowe i okoliczne hotele, obiekty szkolne i ośrodki wczasowo-turystyczne. W specjalnie zorganizowanym miasteczku namiotowym kwateruje każdego dnia od 3 do 4,5 tys. osób. Drugie tyle biwakuje w namiotach rozbitych na terenie prywatnych posesji.

W czasie festiwalu w mieście gminie obowiązuje prohibicja, min to Policja zatrzymuje kilkanaście osób do wytrzeźwienia oraz ujawnia kilka osób prowadzących pojazdy po spożyciu alkoholu.

Powszechnie znana jest obiegowa, negatywna opinia o uczestnikach festiwalu. Innego zdania są mieszkańcy Jarocina (którzy np. chętnie pozwalają rozbijać namioty na swoich posesjach) i zabezpieczająca porządek

POLICJA INFORMUJE

(Wybór zdarzeń kryminalnych)

HORROR

● 11 marca w Kielcach na strychu budynku znaleziono zwłoki Małgorzaty J. (lat 23) oraz jej 3-letniego syna. Na ciele kobiety były liczne rany rąbane, natomiast szyję dziecka owinięto ręcznikiem. Policja zatrzymała podejrzanego o dokonanie zbrodni Wincentego K. (lat 57), karanego.

● 23 marca w Kędzierzynie-Koźlu (woj. opolskie) ujawniono w mieszkaniu zwłoki Marcina K. ukryte w wersalce. Zabójstwa poprzez zadanie ran kłutych w okolicę serca dokonano pomiędzy 20 a 23 marca.

● 24 marca w Poznaniu do pokoju w domu jednorodzinnym zajmowanego przez Bożenę W. wtargnął po wybiciu szyby Krzysztof M. W wyniku bójki, jaka wywiązała się między nim a bratem Bożeny W. — Romanem Sz., napastnik został obezwładniony, a następnie uduszony kablem elektrycznym. Roman Sz. był w stanie upojenia alkoholowego.

HORROR RODZINNY

● 14 marca w Tychach (woj. katowickie) podczas przeszukania mieszkania zaginionej Janiny N. ujawniono ślady zabójstwa. Zatrzymano podejrzaną córkę Janiny N. — Marzenę (lat 19), uczennicę liceum, która przyznała się do zbrodni. Sprawczyni rozkawałkowała zwłoki matki, po czym umieściła fragmenty w różnych śmietnikach w Tychach, Mikołowie i Katowicach.

● 22 marca w Prudniku (woj. opolskie) Franciszek P. będąc w stanie nietrzeźwym uniemożliwił wejście do mieszkania swojej żonie i dzieciom. Na prośbę Doroty P. jej bracia wyłamali drzwi. Wówczas Franciszek P. pchnął śmiertelnie nożem Wacława S.

● 27 marca w Kraśniku (woj. lubelskie) Zofia Sz. wyskoczyła wraz z dwuletnią córką z balkonu na IV piętrze. W wyniku obrażeń kobieta zmarła, natomiast dziewczynka znajduje się w szpitalu. Samobójczyni (lat 45) była najprawdopodobniej w stanie delirium alkoholowego.

ZUCHWAŁE NAPADY

● 11 marca w Bolesławcu (woj. jeleniogórskie) dokonano rozboju na Kazimierzu T. Sprawcy wciągnęli go do tunelu, pobili i okradli. Pokrzywdzony z ciężkimi obrażeniami trafił do szpitala.

● 13 marca do mieszkania Edwarda K. w m. Słotowa (woj. tarnowskie) wtargnęło 3 zamaskowanych mężczyzn, którzy pobili i związali gospodarza. Zażądali pieniędzy polewając mu nogi gorącą wodą. Po zabraniu 150 tys. zł oddali strzał z gazowca do swej ofiary.

● 19 marca około godz. 23.00 w Poznaniu kierowca taksówki zabrał 2 młodych mężczyzn, którzy zamówili kurs do Lubonia. Po przybyciu na miejsce Władysław M. został sterroryzowany brzytwą, a następnie uderzony butelką w głowę. Po odzyskaniu przytomności stwierdził, że zrabowano mu samochód, złotą obrączkę i gotówkę. Władysław M. trafił do szpitala, jego poloneza odnaleziono.

publiczny w mieście Policja. Biorąc pod uwagę tak duże zgromadzenie młodzieży należy stwierdzić, że w okresie festiwalu stan bezpieczeństwa jest zadowalający. Warto podkreślić, że kiedy w 1986 roku zastosowano demonstrację siły (np. przez wieloosobowe patrole), środki masowej informacji pisały o spacyfikowaniu Jarocina. W latach późniejszych ograniczono patrole mundurowe na rzecz służb specjalistycznych (np. policjanci zajmujący się problematyką zapobiegania demoralizacji i przestępczości nieletnich oraz zapobiegania narkomanii). W latach 1989—1990 niektóre gorące głowy studził natychmiast sam widok drużyny antyterrorystycznej.

Najczęściej notowane przestępstwa w okresie festiwalu to: 1—2 rozboje, w czasie których sprawcy zabierają kurtki i pieniądze; uszkodzenia ciała pod wpływem alkoholu; kradzieże z włamaniem (także do samochodu). Najczęściej dokonywane są kradzieże kurtek, plecaków, śpiworów, namiotów i odzieży. Przeciętnie w czasie festiwalu ujawnia się kilkanaście przestępstw i od 400 do 700 wykroczeń. Ujawnia się także kilka osób pod wpływem środków odurzających i związane z tym przestępstwa: nielegalny zbiór słomy makowej, posiadanie przyrządów do produkcji środków odurzających oraz produkcja takich środków.

Komenda Rejonowa Policji w Jarocinie w dniach od 1 do 4 sierpnia 1990 roku, tj. w okresie trwania ostatniego festiwalu wszczęła 23 postępowania przygotowawcze, czyli o 11 więcej niż w roku poprzednim. Ustalono 10 podejrzanych, z których 8 zatrzymano na gorącym uczynku przestępstwa. Warto zaznaczyć, że w ostatnich 2 latach zanotowano, m.in. takie przestępstwa jak: kradzieże i podrabianie karnetów na festiwal. Nie ulega wątpliwości, że jest to związane ze stosunkowo wysoką ceną karnetu lub biletu wstępu na jeden koncert dla młodego fana muzyki rockowej, bowiem w 1989 r. czterodniowy karnet kosztował 10 tys. zł., a w 1990 roku 55 tys. zł. plus opłata za pole namiotowe.

Wśród sprawców przestępstw przeciętnie jest 6 nieletnich, a 2 z nich to uciekinierzy z domów rodzinnych.

Typowe naruszanie porządku na ulicach festiwalowego Jarocina to konflikty między grupami skinów i punków. W związku z tym patrole prewencyjne Policji zapobiegają lub likwidują zadymy.

Zdarza się, że uczestników zadymy patrole odwożą do szpitala. Natomiast w izbie przyjęć dochodzi ponownie do bójek między poszkodowanymi — członkami antagonistycznych podkultur.

Uczestnicy festiwalu są bardzo różnorodni. Obok fanów heavy-metalu („metalowców") widzimy punków, skinheadów, satanistów, hipisów i pseudohipisów oraz pokojowo nastawionych rastafarian, a także wyznawców Kriszny, zenbuddystów, polskich zielonych oraz bardzo aktywnych oazowców. Na ostatni festiwal przybyło dużo punków i bardzo mało skinów. Wciąż modni są sataniści, którzy są wprawdzie fanami różnych odmian heavy-metalu, ale którzy coraz częściej dewastują cmentarze w całym kraju.

Teksty prezentowane w Jarocinie były i są nadal dla wielu słuchaczy szokujące. Przykładowo, w czasie jednego z koncertów fanowie „TSA" wznosili okrzyki: „Jezus Chrystus", zaś wielbiciele zespołu „KAT" — wzywali szatana. Natomiast między koncertami, w kościele słychać słowa litanii:

„... Aby żaden muzyk nie umierał śmiercią samobójczą,
Aby teksty piosenek łączyły,
a nie dzieliły fanów,
Aby muzyka nigdy nie służyła złu.
Za muzykę, za Jarocin —
dziękujemy ci Panie".

Mieszają się style, poglądy, upodobania. Badacze problemu twierdzą: że to, co odbywa się w Jarocinie to prowokacja: artystyczna, estetyczna i moralna. Chodzi o to, aby nie dopuścić do obojętności, aby obrażać, drażnić i kpić. Dotyczy to wszystkiego: autorytetów, polityków, Policji, wojska, rodziców, szkoły, nauki, ale czasem i negatywnych postaw społecznych. Ktoś nawet określił, że jest to „świeży prysznic na zapyziałe mózgi". Uczestnicy festiwalu chodzą w ciuchach i fryzurach, jakie im się podobają. Ich pożywienie to najczęściej mleko i duża bułka lub chleb. Z pewnością nie jest to zlot chuliganów i narkomanów.

JERZY W. WÓJCIK

PS Jeszcze przed czterema laty w jednej z komisji sejmowych stwierdzono, że festiwal w Jarocinie powinien być zlikwidowany ze względu na jego istotną rolę w demoralizacji młodzieży. Autor tej wypowiedzi, wysoki urzędnik państwowy, posiadał wyjątkowo słabą orientację na temat zainteresowań współczesnej młodzieży.

PO PIENIĄDZE DO KSIĘDZA

Mieszkańców Domu Księży Emerytów przy ul. Ratuszowej w Warszawie wstrząsnęła tragiczna śmierć ks. Godlewskiego, który stał się ofiarą napadu byłego wychowanka, 16-letniego Adama K.

*

Adam K. nie lubił szkoły. Do pracy również się nie garnął. Przez całe dnie wałęsał się bez celu. Najbardziej z takiego zachowania niezadowolona była jego starsza siostra. 9 lutego br. wyjeżdżając na kilka dni do Krakowa dała mu jednak klucze do swojego mieszkania, aby mógł pooglądać filmy wideo.

Pusta chata i wideo to było to, czego Adam potrzebował. Zaraz też znaleźli się przygodnie napotkani kumple 15-letni Paweł i 17-letni Robert, których propozycja wspólnego oglądania filmów bardzo zainteresowała. Po drodze do mieszkania siostry kupili wino. Kiedy opróżnili butelkę, postanowili zdobyć fundusze na następną. Adam pomyślał, że mógłby poprosić o pieniądze księdza, który znał go od dziecka.

— Ten pomysł z księdzem jest naprawdę dobry — przekonywał Pawła i Roberta. — Mój ojciec pracował u niego jako kościelny. Ksiądz kupił mi kiedyś rower. Lubi mnie i na pewno pożyczy.

Wybrali się razem do Domu Księży Emerytów przy ul. Ratuszowej, gdzie teraz mieszkał 78-letni ksiądz Godlewski. Adam zatrzymał się przed bramą z domofonem. Kolegom powiedział, że wejdzie jednak tylnym wejściem. Oni mieli zaczekać na niego na ulicy. Gdy ksiądz otworzył mu, był nieco zdziwiony, że nie został powiadomiony telefonicznie o wizycie. W Domu Księży Emerytów panował bowiem taki zwyczaj, że zakonnica odbierając zgłoszenia z domofonu powiadamiała natychmiast księży o wizycie gości, a gdy telefon nie działał, wysyłała do nich pokojówkę z wiadomością.

Ksiądz Godlewski szybko jednak zapomniał o dręczących go w pierwszej chwili wątpliwościach. Dopiero kiedy Adam wspomniał o pieniężnej pożyczce, zaniepokoił się.

— Na alkohol ci dziecko nie dam — oświadczył kategorycznie widząc, że chłopak jest już nieco podchmielony.

W odpowiedzi na te słowa Adam chwycił nóż ze stołu, przewrócił księdza na podłogę i przydusił kolanem jego gardło.

— Gdzie ksiądz trzyma pieniądze? Mów, bo użyję tego noża — zagroził. Chory na serce staruszek z trudem łapał powietrze, zaczął charczeć. Adam zawinął go w dywan, by spokojnie splądrować pokój.

W tym samym czasie koledzy zniecierpliwieni długą nieobecnością Adama postanowili również udać się do mieszkania ks. Godlewskiego. Nacisnęli więc guzik domofonu. Zakonnica zaniepokojona, że ksiądz nie odbiera telefonu, wysłała do niego pokojówkę. Gdy ta nacisnęła klamkę, z pokoju wybiegł Adam trzymając nóż w ręku. Przewrócił kobietę i uciekł tą samą drogą, którą się tu dostał. Przestraszona pokojówka wszczęła alarm. Kiedy kobiety odwinęły dywan, ksiądz jeszcze żył. Natychmiast wezwały Policję i pogotowie ratunkowe. Mimo podjętych przez lekarzy zabiegów reanimacyjnych nie udało się uratować ks. Godlewskiego.

Przybyli na miejsce funkcjonariusze z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego i Operacyjno-Rozpoznawczego KRP Warszawa-Praga Północ po wstępnych ustaleniach przebiegu zdarzenia przystąpili do przesłuchania chłopców zatrzymanych na terenie budynku przez zakonnice. Gdy Paweł i Robert usłyszeli o śmierci ks. Godlewskiego, szybko opowiedzieli o swojej znajomości z Adamem. Podali adres siostry chłopca. W miejscu zamieszkania Adama i jego siostry funkcjonariusze przygotowali zasadzkę.

Po trzech dniach ukrywania się po piwnicach i strychach Adam został zatrzymany. Z początku wszystkiemu zaprzeczał, ale gdy dochodzeniowiec powiedział mu, że ksiądz nie żyje, rozpłakał się i przyznał do rozboju. Został osadzony w schronisku dla nieletnich pod nadzorem, a jego sprawę przekazano sądowi ds. nieletnich.

JOLANTA SZUTKOWSKA

PS Personalia chłopców oraz księdza zostały zmienione.

● 23 marca w Warszawie do jednego z kantorów weszło tuż po godz. 10.00 2 mężczyzn, którzy wymienili 30 tys. dolarów USA na złotówki, a następnie wyciągnęli pistolety i zażądali wydania poprzednio wręczonych dewiz. Napastnicy zbiegli z pieniędzmi.

WIELKIE ŁUPY

● 18 marca w Białymstoku skradziono stara wraz z towarem: wykładziną podłogową, tapetami, kawą i herbatą. Straty wynoszą 300 mln zł na szkodę prywatnego zakładu Mirosława Ch.

● 24 marca w Warszawie ujawniono włamanie do willi Anny K. skąd skradziono gotówkę, dewizy, 2 obrazy oraz wyroby ze złota i srebra na ogólną sumę około 300 mln zł.

● 26 marca w Warszawie włamano się do mieszkania Czesława K. Skradziono 8 cennych obrazów, złoty zegarek i srebrną cukiernicę. Straty sięgają 300 mln zł.

WŁAMANIE DO ARSENAŁU

● 26 marca Komisariat Policji w Suchym Lesie (woj. poznańskie) został powiadomiony przez dowódcę warty Straży Przemysłowej o zatrzymaniu sprawców włamania do Stacji Prób Broni i Amunicji. Sprawców: Daniela Z. (lat 11), Artura J. (lat 14) i Piotra J. (lat 16) zatrzymano podczas próby ponownego włamania. Skradzione pociski do granatnika odzyskała Policja.

PROFANACJA

● W nocy z 20 na 21 marca w Bielsku Podlaskim (woj. białostockie) nieznani sprawcy skradli z pomnika poległych policjantów tablicę z napisem: „Policjantom, którzy oddali swe życie za wolność, niepodległość i bezpieczeństwo ojczyzny, zamordowanym w obozach niemieckich i łagrach sowieckich".

TAJEMNICZA ZAMIANA

● 21 marca w Oddziale I Banku PKO SA w Warszawie ujawniono kradzież gotówki w kwocie 76 500 tys. zł. W przekazanym do sortowalni pakiecie umieszczone były pocięte gazety. Pieniądze konwojowali pracownicy firmy „Asekuracja".

POLICJANCI W OPAŁACH

● 21 marca o godz. 6.30 w Starachowicach (woj. kieleckie) sierż. Waldemar S. zatrzymał do kontroli kierującego w stanie nietrzeźwym żukiem Ryszarda Sz. Zatrzymany usiłował wręczyć policjantowi łapówkę w wysokości 1 mln zł. Po stanowczej odmowie Ryszard Sz. uderzył funkcjonariusza pięścią w twarz i zbiegł pozostawiając pojazd. Sprawcę zatrzymano w pościgu.

● 22 marca w Prudniku (woj. opolskie) podczas kontroli drogowej nietrzeźwi Janusz M. (kierowca) i jego żona Teresa uderzyli w głowę, kopali i znieważyli słownie sierż. Jana K. Napastników osadzono w areszcie.

POLICJANCI STRZELAJĄ

● 21 marca w Warszawie w trakcie pościgu za sprawcami włamania do samochodu st. post. Jerzy P. z zespołu wywiadowców oddał 5 strzałów ostrzegawczych, a następnie po doścignięciu jednego z uciekających, podczas szamotaniny oddał strzał, który zranił podejrzanego w głowę. Zbigniewa S. w stanie krytycznym przewieziono do szpitala.

REALIZACJA SPRAWY

● 22 marca na wniosek KWP w Legnicy prokurator aresztował Jana M. Wymieniony od 30 listopada 1990 r. do 23 stycznia br. działając w zorganizowanej grupie przestępczej w Hucie Miedzi „Głogów" dokonał zaboru płyt miedzianych o wartości 2 044 910 tys. zł. Jest to, 23 aresztowanie w tej aferze.

oprac. MAT

Losy jeńców Ostaszkowa

Do naszej redakcji skierowała ją „Rodzina Ostaszkowska". Przyszła z kilkuletnią córeczką, z którą przyjechała do Polski. Jelena Żurawliowa ma 48 lat. Wychowywała się w domu dziecka na terenie więzienia w Salechardzie. Z zawodu jest historykiem, pracowała jako przewodnik turystyczny, pisała w gazetach. Związana z opozycją demokratyczną od dłuższego czasu zajmuje się tragedią polskich jeńców wojennych osadzonych w obozie w Ostaszkowie. Ten artykuł napisała specjalnie dla „MK 997".

(M)

СОВЕРШЕННО СЕКРЕТНО

ŚCIŚLE TAJNE

Przyjechałam do Polski właśnie po to, by odnaleźć ludzi zainteresowanych pełnym ujawnieniem tajemnicy obozu w Ostaszkowie. Należę do twerskiego oddziału „Obrońców praw człowieka", jestem z wykształcenia historykiem i zdaję sobie sprawę z tego, że czeka nas jeszcze długa walka. W Rosji o ostaszkowskim obozie prawie w ogóle się nie pisze. Na tereny KGB nie jesteśmy wpuszczani. Gdy wybierałam się do Polski, napadnięto mnie w moim mieszkaniu i pozbawiono zdjęć ostaszkowskich. — Nasi deputowani demokraci wyjaśnili, że operacją tą kierował zastępca prokuratora dzielnicy Moskiewskiej m. Twer W. Biełow.

Wymordowanie przez reżim stalinowski 15 tys. obywateli polskich (głównie wojskowych i policjantów) w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie w 1940 roku należy do nie znanych wcześniej w historii przestępstw przeciwko ludzkości. W prasie radzieckiej okresu pieriestrojki mówi się głównie o „tragedii katyńskiej". Stała się ona znana już w okresie wojny i skoncentrowanie uwagi środków masowego przekazu na tej sprawie spowodowało, że radziecka opinia publiczna jest skłonna sądzić, że historia została już w pełni wyjaśniona.

Zapomina się jakby, że połowa z zamordowanych w Rosji w 1940 roku obywateli polskich (wg ostatnich danych 7725 osób) znajdowała się w oddalonym od wielkich miast i głównych arterii obozie ostaszkowskim. Mniej więcej na 220 kilometrze trasy samochodowej Moskwa—Leningrad jedna z dróg w pobliżu miasteczka Torżka skręca ostro na północny wschód. Coraz rzadsze są przy niej ludzkie osiedla, później droga przechodzi przez gęsty las, by w końcu 400 km od Moskwy zakończyć się w miasteczku Ostaszków, z trzech stron otoczonym wielkim jeziorem Seliger. Są to miejsca do dzisiaj dzikie i rzadko zamieszkane. Przez kilka lat jeździłam tam z radzieckimi turystami (dla cudzoziemców był to teren zamknięty), mieszkaliśmy po kilka dni w prymitywnych ośrodkach wypoczynkowych.

Baza turystyczna „Oziornaja" znajduje się na brzegu, lecz widać z niej doskonale stary klasztor na wyspie Stołbnyj. Otacza go gęsty las iglasty, na brzegu spotkać można namioty rybaków. To właśnie przy ich ogniskach po raz pierwszy w 1975 roku dowiedziałam się, że w latach 1939—1940 na wyspie znajdował się obóz dla polskich jeńców wojennych, których później wymordowano.

Sprawa ta zainteresowała mnie, tym bardziej że nas — przewodników turystycznych, dość często pouczano, że na wyspie Stołbnyj nie było żadnego polskiego obozu. Tymczasem starzy mieszkańcy tych stron opowiadali, że na jesieni 1939 r. do Ostaszkowa przyjechali wyżsi oficerowie NKWD. Jeden z rybaków wspominał, że zaproponowali mu pracę w ochronie tworzonego obozu, ale ojciec wysłał go zaraz do dalekich krewniaków. W tym czasie wiedziano już o stalinowskich zbrodniach i zdarzało się, że Rosjanie uciekali do cygańskich taborów, byle tylko nie podejmować pracy w NKWD.

Do roku 1990 o obozie ostaszkowskim można było dowiedzieć się tylko od starych rybaków. Nad jezioro Seliger nie dopuszczano zagranicznych dziennikarzy. Obawiano się, że dowiedzą się prawdy. Bo miejscowi opowiadali o epidemii dezynterii, która wybuchła w obozie polskich jeńców. Spowodowało ją marne i nieświeże jedzenie. Jeden z rybaków opowiedział mi, że jego ojciec zajmował się kontrolowaniem stanu sanitarnego w miejscowych zakładach skórzanych, z których do obozu trafiała żywność. Fiodor pamiętał, że ojciec interweniował w NKWD, ale nie dało to rezultatu. Ojciec mówił, że bardziej humanitarnie byłoby Polaków rozstrzelać, niż zatruwać, skazując tym samym na powolną śmierć w męczarniach. Po pewnym czasie, już po wybuchu epidemii, ojca rybaka wezwano do Zarządu NKWD w Kalininie (obecnie przywrócono już starą nazwę Twer), skąd powrócił dopiero po pewnym czasie i nic więcej nie opowiadał...

Dwa wydarzenia z tego okresu miejscowi zapamiętali najlepiej: tę epidemię dezynterii (Polacy umierali wtedy codziennie) i wywóz z obozu księży. Ich pierwszą partię wywożono z orkiestrą, powiedziano, że wracają do domu. Ludzie zabierali ze sobą osobiste rzeczy, ale dojechali tylko do Miednoje (30 km od Kalinina), gdzie działało już „osoboje sowieszczanie", dwuosobowy „sąd" doraźny złożony z przedstawicieli NKWD i komitetu partyjnego. Wydawał on „wyroki" śmierci — jeńców rozstrzeliwano natychmiast w pobliskim lesie.

Dokumenty na temat rozstrzelanych i zamęczonych w obozie ostaszkowskim znajdują się w archiwum KGB w Twerze (Kalininie) i tylko tam można poznać całą prawdę o strasznym końcu więźniów z tego obozu. Przebywali w nim głównie policjanci i księża (także oficerowie II Oddziału Sztabu Głównego WP, funkcjonariusze Straży Granicznej i więziennictwa, urzędnicy państwowi i oficerowie KOP — red.). Świadkowie tragedii potwierdzają, że jako pierwszych wywożono z obozu księży.

Znane są jeszcze inne okrutne fakty. Chorych jeńców ładowano na kuter, który kursował między wyspą Stołbnyj i Ostaszkowem. Zwykle podróż taka trwała przez 2 godziny, ale kiedy płynęli nim Polacy, to wracał on do brzegu już po kilkunastu minutach. Nikt nie uwierzył, że chorych wieziono na leczenie. Istnieje podejrzenie, że topiono ich w jeziorze Seliger, gdy tylko kuter stawał się niewidoczny z brzegu. Tak było jesienią 1939 roku, dopóki jezioro nie zamarzło.

Moskiewski historyk Igor Kłoczkow opublikował w roku ubiegłym w czasopiśmie „Sowietskij Cyrk" artykuł, z którego wynika, że rybacy pokazywali mu na jeziorze miejsce, w którym zatopiono 2 barki z ludźmi. Było to już w kwietniu 1940 roku... Konieczne są więc badania prowadzone przez nurków.

I za co Ławrientij przelewaliśmy krew?!

Sprawą obozu w Ostaszkowie zajęła się miejscowa (twerska) opozycja demokratyczna. Młodzieżowa gazeta „Smiena" skierowała zapytanie do Zarządu KGB w Twerze i otrzymała oficjalną odpowiedź, że o problemie tym nie należy pisać. Było to w ubiegłym roku...

Ale w maju 1990 roku oficjalnie stwierdzono, że w archiwum KGB znajduje się dokument, który poświadcza, że obywatele polscy zostali rozstrzelani i pochowani w pobliżu wsi Miednoje. W miejscu tym obecnie znajduje się kompleks sportowo-wypoczynkowy KGB. Szef KGB w Twerze generał Łakoncew nie wykluczył, że na tym terenie pochowani zostali Polacy, sprzeciwia się jednak dalszym badaniom pod pretekstem, że oprócz jeńców polskich, zakopano tam również ciała obywateli ZSRR. Zostali oni zamordowani lub zamęczeni przez organy NKWD w okresie represji stalinowskich, a ich liczba pozostaje nieznana.

Dążenie niektórych wyższych funkcjonariuszy twerskiego KGB do ukrycia skali zbrodni ich poprzedników widoczne jest w nowej wersji, którą starają się rozpowszechnić w środkach masowego przekazu. Twierdzą oni obecnie, że wszyscy więźniowie obozu w Ostaszkowie zostali... wywiezieni do Katynia i tam rozstrzelani. Wersji tej nie potwierdzają żadne dokumenty, jest podobno świadek, który o tym wie, zresztą z drugich ust. W miejscowym radio wersję ową rozpowszechnia dziennikarz Aleksandr Lepiechin, a w „Twerskoj Prawdie" Nina Aleksiejewa. Co jest szczególnie przykre, w „katyńską" wersję uwierzyli też niektórzy członkowie twerskiego „Memoriału" (stowarzyszenie zajmujące się ujawnianiem, dokumentowaniem i ściganiem zbrodni stalinowskich — red.).

Jak przeciwstawić się próbom zatajenia prawdy? Rosjanie i Polacy powinni zjednoczyć się w żądaniu ujawnienia dokumentów twerskiego archiwum KGB oraz domagać się przeprowadzenia ekshumacji w miejscach zakopywania zwłok rozstrzelanych.

Ku mojemu zdziwieniu, również w Polsce spotkałam się z niezadowoleniem lub obojętnością w sprawie ostaszkowskiej tragedii. Wspomnę incydent, do jakiego doszło w Polskim Czerwonym Krzyżu, gdzie udałam się w celu pozostawienia dokumentów pomocnych ludziom, których ojcowie zostali zamordowani na terenie obwodu twerskiego. Jedna z pracownic PCK Jelena J. (była mieszkanką Kijowa, gdzie pracowała w radzie związków zawodowych) zarzuciła mi wprost: „swoją działalnością tylko nam przeszkadzacie". Poinformowała mnie, że przekonuje pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża, że w jej rodzinnym Kijowie nigdy nie zabijano Polaków. Zagroziła, że poinformuje o mojej szkodliwej działalności w Polsce radziecką ambasadę...

Dlatego nie należy się wycofywać z walki. Chcemy w Miednoje postawić pomnik z nazwiskami ofiar. Chcemy też, by członkowie rodzin zamordowanych mogli przyjeżdżać tutaj zgodnie z międzynarodowym ustawodawstwem.

Czym im możemy pomóc? Przede wszystkim informacjami. Na podstawie dekretu prezydenta ZSRR w każdym mieście utworzono komisje ds. rehabilitacji ofiar represji stalinowskich. Na prośbę zainteresowanych krewnych ofiar zajmują się one badaniem sprawy, wydają zaświadczenia oraz rekompensaty pieniężne. W Twerze (Kalininie) komisja taka działa pod adresem: 170 000 Twer, ul. Sowietskaja 50, Oblispołkom — Komissija po reabilitacji żertw stalinskich repressij. Przewodniczy jej zastępca prokuratora obwodu twerskiego Jakowlew, jego adres: 170 000 Twer, ul. Kaljajewa 6, Oblastnaja prokuratura.

Podaję jeszcze jeden adres, pod który można pisać. Na spotkaniu z mieszkańcami w grudniu 1990 r. szef Zarządu KGB obwodu twerskiego gen. W. A. Łakoncew powiedział, że jego archiwum „w zasadzie... otwiera drzwi. Pomagamy krewnym represjonowanych, organizacjom społecznym": Na tej podstawie krewni zamęczonych w obozie ostaszkowskim mogą zwrócić się bezpośrednio do KGB, napisać numer sprawy swoich ojców, ich dane i żądać odpowiedzi. Adres: 170 042 Twer, Pierwomajskaja Nabierieżnaja, Uprawlienije KGB po Twierskoj obłasti.

Wyższa Szkoła Policji w Szczytnie również może skierować swych przedstawicieli do archiwum twerskiego KGB. Wystarczy powołać się na dokumenty, które przekazał M. Gorbaczow prezydentowi Jaruzelskiemu. Na tytułowej stronie każdego spisu nazwisk napisano wyraźnie: „Ściśle tajne. Do rąk własnych. Komendantowi ostaszkowskiego obozu jeńców wojennych majorowi tow. Borisowiec. Po otrzymaniu tego spisu natychmiast skierujcie do miasta Kalinin do dyspozycji szefa NKWD obwodu kalinińskiego wymienionych niżej jeńców wojennych znajdujących się w obozie ostaszkowskim". Dalej wymienia się po około 100 nazwisk Polaków wraz z numerami ich spraw (spisów takich jest wiele).

Na podstawie tych dokumentów mamy prawo domagać się odpowiedzi od współczesnych pracowników twerskiego KGB. „Co stało się z 7725 więźniami obozu w Ostaszkowie, których przekazano do waszego urzędu? Przecież w dokumencie z Moskwy napisano, że ludzi tych nie skierowano do Zarządu NKWD w Smoleńsku (Katyń), lecz do Kalinina"...

Jelena Żurawliowa

(adres dla korespondencji: 170 008, Twer-8 ab. Jaszczik n. 0861. Żurawliowoj Jelenie)

Z policyjnego archiwum

FORMUŁA PRAWDOPODOBIEŃSTWA

TADEUSZ GROMNICKI

Była ciemna listopadowa noc. Mała, przytulona do starego boru wieś. już dawno spała. Kwadrans po północy zza gałęzi wielkiego, starego świerka wychylił się ostrożnie mężczyzna z maską na twarzy i potężną maczugą w lewej ręce. Chwilę wsłuchiwał się w odgłosy dalekiego ujadania psów, po czym ostrożnie zaczął skradać się w kierunku położonej na samym skraju wsi okazałej, starej chaty. Lekko przeskoczył okalający ją płot, wspiął się po przystawionej drabinie na dach obory, który przylegał do małego okienka na strychu budynku mieszkalnego, a następnie wyjął z kieszeni mały, składany łom. Po wyważeniu nim ramy okienka, dostał się na poddasze, skąd po schodach zszedł bezszelestnie do obszernej, ciasno wypełnionej różnymi meblami, izby na parterze.

Jego wzrok padł na przykrytego do połowy białą, puchową pierzyną, pogrążonego w głębokim śnie mężczyznę. Zrobił trzy kroki do przodu, podniósł do góry maczugę i walnął nią w głowę śpiącego. Uderzając, strącił łokciem nocną lampę, która upadła z brzękiem tłukącego się szkła na podłogę.

Pierwsza zerwała się z łóżka żona napadniętego, chciała biec w stronę jęczącego męża, ale bandyta był szybszy. Błyskawicznie schwycił ją za gardło, powalił na ziemię i zaczął dusić. Gdy straciła przytomność, skrępował ją mocnym, konopnym sznurem. Pozostałych domowników, 14-letnią dziewczynkę i 6-letniego chłopca, przywiązał takim samym sznurem do nóg ciężkiego, dębowego stołu. Po czym włączył do sieci elektryczne żelazko, rozsiadł się wygodnie na fotelu i zapalił papierosa. Kiedy żelazko rozgrzało sę do czerwoności, podszedł z nim do odzyskującej przytomność kobiety.

— Gdzie masz pieniądze i złoto, k... — wrzasnął, przykładając żelazko do brzucha ofiary. Nieczuły na jęki i prośby napadniętej, odwiązał jej córkę, zdarł z niej nocną koszulę i rozpiął spodnie.

— Powiem, wszystko oddam, zostaw ją tylko w spokoju — błagała matka.

— Zgodnie z jej wskazówkami, odsunął od ściany ciężką szafę na bieliznę, podważył łomem dwie deski podłogowe i wyjął ze skrytki półlitrowy szklany słoik, wypełniony po brzegi złotymi monetami, biżuterią i dolarowymi banknotami. Gdy przełożył jego zawartość do kieszeni, podszedł do skulonej na łóżku dziewczynki. Zgwałcił ją na oczach matki, ojca i małego braciszka. Wychodząc zagroził, że jego ludzie będą strzelać bez ostrzeżenia do każdego, kto będzie chciał opuścić dom przed świtem.

Inspektor Rylski, któremu powierzono prowadzenie tej sprawy, ani trochę nie wierzył w istnienie uzbrojonych w broń palną pomocników bandyty. Dla inspektora liczyły się tylko fakty, a więc przystawiona do stodoły drabina; wyłamane okno na strychu budynku mieszkalnego, obrażenia na ciałach ofiar, wypróżniona skrytka w podłodze, resztki spalonego naskórka na żelazku, powrozy, którymi skrępowano napadniętych, dwa niedopałki papierosów i opakowanie po sportach. Pokrzywdzeni, czterdziestoletni Marcin Szumigaj, jego żona i córka przebywali w tym czasie jeszcze w szpitalu, gdzie lekarze walczyli o ich życie. Stąd ich zeznania, wypowiedziane, gdy byli w głębokim szoku, trzeba było oceniać bardzo krytycznie.

Syn M. Szumigaja, przesłuchany w obecności nauczycielki z pobliskiej szkoły, sto-

ciąg dalszy na s. 21

Włochy

MAFIA W ZUCHWAŁEJ OFENSYWIE

„La Pivora", czyli „Gigantyczna Ośmiornica" — jak nazywają mafię Włosi — już dawno przekroczyła rozmiary monstrualne i chociaż mieszkańcy Półwyspu Apenińskiego w odruchu psychicznej samoobrony starali się nie dostrzegać narastającego, coraz powszechniejszego zagrożenia, to obecnie pojawiło się wśród nich pytanie, czy ten zinstytucjonalizowany syndykat zbrodni nie staje się już instytucją silniejszą od samego państwa, tak jak to wystąpiło w Kolumbii. Wojna mafii z administracją państwową, krwawe rozprawy między samymi gangami i lawinowo wzrastająca liczba niewinnych ofiar przybrały poziom alarmujący, zwłaszcza iż życie ma cenę coraz niższą, mordercy czują się coraz bezkarniejsi, a Włochy, głównie Południowe wkraczają w swoisty stan wyjątkowy.

W atmosferze strachu i bezkarności klany mafii włoskiej współzawodniczą z państwem w kontrolowaniu Sycylii, Kalabrii i Neapolu, a jednocześnie w Puglii rodzi się Czwarta Mafia. Rząd czuje się niezdolny do położenia kresu tej narastającej działalności przestępczej. Wojna między „capos" zaostrza się, wywołując falę zbrodni.

Bez wątpienia kraj potencjalnie znalazł się w stanie wyjątkowym po tym, gdy we wrześniu 1990 r. w ciągu 8 dni została „zlikwidowana" trójka dzieci i jeden sędzia. Elisabetta, 9 lat, została trafiona w potylicę dwoma strzałami w akcie zemsty przeciwko jej rodzinie wymierzonym przez ndranghetę (mafię kalabryjską). Paolo, 8 lat, był rażony w twarz strzałami z fuzji w zasadzce zorganizowanej na ojca tego dziecka, któremu ono towarzyszyło. Rannego chłopca dobito. Andrea, 12 lat, usługujący w barze, poniósł śmierć od strzału w głowę, ponieważ widział zabójcę — jednego z członków camorry, który akurat popijał kawę przy stoliku. Głównym podejrzanym o dokonanie morderstwa na Andrei jest 15-letni chłopak.

Przerażona opinia publiczna zaczęła zapytywać, czy przemoc stała się już tak powszechna, jak to się stało w Kolumbii. Pytanie pojawiło się po tym, gdy dwu rewolwerowców ostrzelało samochód sędziego Roberto Livatino na autostradzie 640, nieopodal Agrigento, w sycylijskim rejonie zmasowanej aktywności mafijnej. Livantino, 36 lat, chociaż ranny, zdołał wydostać się z samochodu i popędził przez pole ścigany nieubłaganie przez swoich morderców.

Sporo zmotoryzowanych przystanęło i obserwowało moment, w którym młody, 24-letni chłopak, szczupły i smagły, dogonił sędziego i oddał kilka strzałów, aby być pewnym dokonanego zabójstwa. Cała ta chmara obserwujących natychmiast uciekła, połączona sycylijską zmową omerty, tj. milczenia. Wszyscy, poza jednym: idzie o pewnego handlowca z północnych Włoch, który zrelacjonował wszystko, co widział policji, obecnie ukrywającej go jako niezwykle cennego, naocznego świadka zajścia.

W całej tej masakrze na południu najbardziej skandaliczne jest to, że w czasie kiedy mafia działa w sposób zdecydowany, aparat państwa pozostaje w odwrocie. Ekspert Pino Arlacchi utrzymuje, że „od czterech lub pięciu lat znajdujemy się w fazie jawnej rezygnacji".

Dane krzyczą: według szefa policji, Geofredo Parisi, w tych trzech rejonach mafijnych wykryto istnienie 434 „familias" (rodzin) lub klanów liczących w sumie 15 045 członków. Do tej armii „picciotti" (żołnierzy), którzy niewątpliwie złożyli przysięgę śmierci, należy dodać dwa lub trzy kręgi wspólników. Na pierwszym miejscu znajduje się około 10 000 przestępców wykorzystywanych do utrzymania sieci kontroli terytorium ogarniętego przemytem i przerzutami narkotyków. Następni to handlowcy, przemysłowcy, finansiści i profesjonaliści związani z mafią poprzez legalne interesy, a tworzący sieć ochrony bardzo trudną do spenetrowania. I, jako ostatni, znajduje się osławiony Trzeci Poziom: niejasna linia bezpośredniej zażyłości łącząca mafiosów dysponujących władzą polityczną, zarówno w skali lokalnej, jak i na wysokim szczeblu.

Eks-sędzia, Luciano Volante — dziś poseł komunistyczny i wiceprzewodniczący Parlamentarnej Komisji Antymafijnej — jest zdania, że mafia włoska, ze względu na własną strukturę, potrzebuje nieustannego rozprzestrzeniania się. „Jest jak rak: musi pożerać zdrowe komórki organizmu, w którym żyje". Ta dynamiczna ekspansja prowokuje niekończący się zamęt.

Na Sycylii istnieje „Cupula" (Kopuła) lub Comision, stanowiąca zgromadzenie największych „capos", musi ono przeciwdziałać powstawaniu wojen, dokonywać podziału rynków oraz nakreślać strategię. Jednak w rzeczywistości mafia obecnie znajduje się pod dyktaturą Toto Riina, będącego aktualnie nie kwestionowanym przywódcą mafijnego klanu Corleone, który zwyciężył w Palermo w krwawej wojnie z pierwszych lat osiemdziesiątych.

Bez wątpienia dyktatura Riina nie zdoła uniknąć występującego na Sycylii zjawiska podziałów stanowiących regułę w neapolitańskiej camorze i kalabryjskiej ndranghecie. Wojny między bandami, które powstają i rozpadają się, są na porządku dziennym, a stymulatorem jest nieobecność państwa oraz terror panujący wśród ludności.

Ekspansja mafii ogarnęła rejon Puglii, który do niedawna wydawał się odporny na skażenie. To Kalabryjczyk Giuseppe Rigoli był tym, który doprowadził do pojawienia się klanu o największym zasięgu i zasobności: la Santa Cerona Unida, Święta Korona Zjednoczona. Setki przestępców zaprzysiężono zgodnie z charakterystycznym dla ndranghety, średniowiecznym rytuałem hidalgów hiszpańskich. Mafiosi przybyli z Sycylii oraz neapolitańscy camorryści także włączyli się do gry, przekształcając wybrzeże Puglii w raj służący przemytowi papierosów i handlowi narkotykami. Obecnie w rejonie tym, jak się ocenia, panoszy się 30 klanów dysponujących przeszło 2 tysiącami „żołnierzy".

Z punktu widzenia prawa i państwa spektakl ten jest, jak dotychczas przygnębiający. „Wojna przybiera charakter chroniczny — wyjaśnia profesor Arlacchi — ponieważ koszt jej prowadzenia staje się coraz niższy, a ryzyko związane z mordowaniem coraz mniejsze. W okresie od 1971 r. do 1987 r. bezkarność w przypadkach zabójstw wzrosła z 12,7 proc. do 50 proc., a w rejonach opanowanych przez mafię aż do 80 proc.". Osiem tysięcy sędziów włoskich zamierza ogłosić strajk, uważają oni, że władza polityczna nie wyposaża ich w środki niezbędne do spełniania obowiązków. I tak jest z pewnością.

Rząd przyznał trochę środków, które rozczarowały jego przyjaciół i wywołały protesty opozycji. Zasadniczy problem polega na tym, że policji, karabinierom, straży finansowej (będącej policją podatkową) oraz wymiarowi sprawiedliwości, znajdującym się na pierwszej linii walki z mafią, brakuje środków do zwalczania tego fenomenu o niezwykłej złożoności. Jednak przede wszystkim odczuwa się niedostatek ochronnego puklerza, jaki może zapewnić tylko prawdziwa wola polityczna tych, którzy kierują władzą państwową.

B.

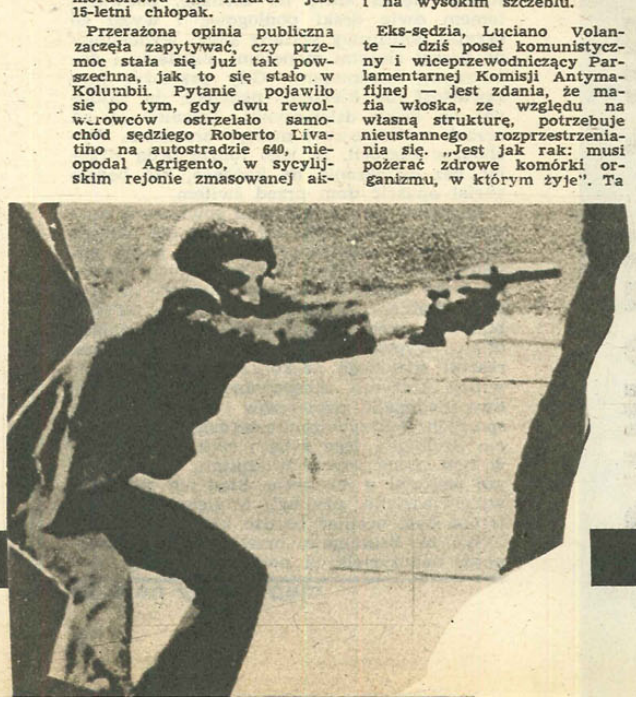

Niemcy

URZĄD OCHRONY KONSTYTUCJI

W grudniu 1990 r. minęło 40 lat od powstania Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (UOK), czyli służby bezpieczeństwa i kontrwywiadu Republiki Federalnej Niemiec. Z tej okazji w prasie wschodnioniemieckiej ukazało się szereg materiałów nawiązujących do tej rocznicy, a równocześnie pozwalających wysnuć wniosek, jaki jest stosunek społeczeństwa wschodnioniemieckiego do tej służby, której we wschodnich landach jeszcze oficjalnie nie ma, ale która ma tam wkrótce zostać utworzona. Wyjątek stanowi Berlin Wschodni, który 3 października przeszedł w zakresie bezpieczeństwa wewnętrznego w gestię Krajowego Urzędu Ochrony Konstytucji w Berlinie Zachodnim.

„Ochroniarze konstytucji" nie zaliczają się do tych, z którymi politycy pokazują się chętnie społeczeństwu i którym oficjalnie dziękuje się za dokonania. Zaliczają się or[illegible]czej do nielubianych dzieci narodu, a ich praca spotyk[illegible] z oficjalną akceptacją tylko z wielkimi oporami, aczkolwiek po cichu wyraża się dla niej uznanie. Ciekawa w tym kontekście jest treść listu jubileuszowego, jaki formalny przełożony kolońskiej służby, minister spraw wewnętrznych Wolfgang Schaeuble, skierował do Gerharda Boedena. Otóż znajdują się tam stwierdzenia, że „obawy i zarzuty pod adresem służby ochrony konstytucji są nieuzasadnione..., jej struktura federacyjna, kontrola parlamentarna, ochrona danych oraz publiczny charakter działania i środki przekazu dbają o to, że nie są możliwe polityczne nadużycia".

Federalna centrala Urzędu Ochrony Konstytucji w Kolonii liczy około 2800 pracowników, którzy są zatrudnieni w 7 głównych wydziałach. Jest to: zwalczanie ekstremizmu prawicowego, walka z ekstremizmem lewicowym, kontrwywiad, czyli zwalczanie szpiegostwa, sprawdzanie określonych osób pod względem bezpieczeństwa, walka z ekstremizmem zagranicznym i zwalczanie terroryzmu. Najbardziej kontrowersyjny jednak jest ostatni pion, a właściwie wydział pierwszy, który zajmuje się gromadzeniem danych w wywiadowczym systemie informacyjnym Nadis. Już w 1979 r. (świeższych danych brak) zgromadzono tam dane na ponad 3 mln osób, w tym nie tylko na osoby inwigilowane z różnych powodów i na osoby, z którymi one utrzymują kontakty, lecz również na wszystkich tych, którzy ubiegali się o stanowiska w służbie państwowej.

W pięciu nowych landach niemieckich nie istnieją jeszcze placówki Urzędu Ochrony Konstytucji, a wszelkiej maści ekstremiści i szpiedzy — jak można niekiedy usłyszeć z ust zatroskanych tą sytuacją osób — mogą działać bez przeszkód. To wkrótce zmieni się, a obsada etatowa na wschodzie Niemiec — jak wynika z zamiarów centrali w Kolonii — ma wynieść nie mniej niż 1000 osób. Są to oczywiście tylko przymiarki, gdyż landowe Urzędy Ochrony Konstytucji podlegają rządom poszczególnych krajów związkowych i od budżetów tych krajów będzie zależeć ilościowo obsada tych placówek. Z ciekawą propozycją w tej materii wystąpił w rozmowie z DER MORGEN rzecznik frakcji FDP do spraw wewnątrzpolitycznych, Burkhard Hirch. Po pierwsze, sugerował on, że cała niemiecka służba Ochrony Konstytucji powinna zostać zmniejszona o 30 proc., gdyż koniec epoki zimnej wojny ogranicza znacznie jej zadania, a po drugie — dla nowych landów niemieckich zalecił rozwiązanie, jakie przyjęto w Północnej Nadrenii-Westfalii. Nie ma tam mianowicie samodzielnego Krajowego Urzędu Ochrony Konstytucji, a służba ta funkcjonuje jako jeden z pionów tamtejszego ministerstwa spraw wewnętrznych. W ten sposób została uwypuklona bezpośrednia polityczna odpowiedzialność za jej działanie ministra spraw wewnętrznych.

Pozostaje oczywiście odpowiedź na pytanie, czym dokładnie powinien zająć się UOK w nowych landach. Czy ma inwigilować lewicowe partie polityczne? To pytanie jest o tyle uzasadnione, że wzmagają się głosy, zwłaszcza ze strony polityków bawarskich, ażeby poddać kontroli postkomunistyczną PDS. Czy należy również inwigilować różne ruchy i inicjatywy obywatelskie, których aktywność godzi w niektóre zamiary państwa? Z przeszłości takich przykładów nie brak, ot choćby poddanie na wiosnę 1988 roku ostrej kontroli ze strony bawarskiego Urzędu Ochrony Konstytucji 100 tamtejszych przeciwników budowy fabryki plutonu. Ale bawarskie służby — zaznacza prasa wschodnioniemiecka — były zawsze nadgorliwe. Pełne ręce roboty będą natomiast miały w nowych landach piony Ochrony Konstytucji zajmujące się walką z wszelkim ekstremizmem i terroryzmem, nie mówiąc już o kontrwywiadzie, gdyż radzieckie służby specjalne naszpikują również byłą NRD, na wzór dawnej RFN, swoimi agentami.

B.

USA

ŚMIGŁOWCE Z USA

— Od dawna myśleliśmy nad tym, żeby naszą Policję upodobnić do policji zachodnich. Mam tu na myśli nie tylko poprawę efektywności pracy, lecz przede wszystkim wyposażenie w odpowiedni, specjalistyczny sprzęt itp. Wiadomo wszystkim, że policje dysponują helikopterami, które wykorzystywane są do różnych zadań, patrolowania rozległych terenów, regulacji ruchu ulicznego (zwłaszcza utrzymywania płynności przejazdu na autostradach), rozładowywania korków ulicznych w dużych miastach, koordynacji służby patrolowej. Utrzymują one stałą łączność z radiowozami, jednostkami policji, a w razie potrzeby z poszczególnymi policjantami.

Ponadto znakomicie przydają się w czasie akcji pościgowej za niebezpiecznym przestępcą, poszukiwań dzieci zagubionych w zalesionym terenie, a także niesienia pomocy ofiarom wypadków drogowych, katastrof. Ze względu na wyposażenie mogą latać zarówno w dzień, jak i w nocy.

Dotychczas wykorzystywane w naszym kraju śmigłowce są bezsprzecznie za ciężkie i za duże jak na potrzeby Policji, do tego są nieekonomiczne. Mało zwrotne, nie są w stanie np. zawisnąć nisko nad ziemią, co eliminuje je z patrolowania na małej wysokości. Wymagają prawie takiej samej obsługi technicznej, jak samoloty, podczas gdy śmigłowce prod. zachodniej traktowane są jak samochody, stoją w garażu, startują lub lądują w razie potrzeby np. ze skwerku.

Od dawna interesowaliśmy się małymi śmigłowcami i pod tym też kątem rozpoznawaliśmy światowy rynek lotniczy. Zwróciliśmy uwagę na dwa typy śmigłowców, pierwszy firmy Messerschmitt Bolków prod. niemieckiej oraz amerykańskiej firmy Bell; Jet Renger i Long Renger. Odpowiadały nam swoimi osiągami.

Zamysł zakupu odpowiednich śmigłowców wynikał z harmonogramu przygotowań do przyjazdu do Polski Papieża. Analizując stan posiadania doszliśmy do wniosku, że nie mamy śmigłowca gwarantującego w czasie lotu stuprocentowe bezpieczeństwo Dostojnemu Gościowi, a trasa tegorocznej pielgrzymki jest bardzo trudna. Śmigłowce, którymi dysponujemy, choć zdały egzamin w czasie poprzednich wizyt, to jednak obecnie dożywają swego żywota i nie nadają się już do przewożenia ważnych osobistości.

Należało więc jak najszybciej wypełnić tę lukę. Rozpoczęły się wstępne pertraktacje z przedstawicielami firmy Bell, ale nie wiadomo dlaczego nie zostały one sfinalizowane. Może dlatego, że ówczesny szef Rady Ministrów podjął decyzję, że wykorzystamy w tym celu śmigłowiec rodzimej produkcji „Sokół"? Nie wzięto pod uwagę, że śmigłowiec ten nie posiadał certyfikatu krajowego i nie wolno przewozić nim pasażerów. Ponadto „Sokół" nie miał wylatanych wymaganej liczby godzin. Wszelkie znaki wskazują na to, że śmigłowiec ten może w przyszłości spełnić pokładane weń nadzieje, jednak w obecnej sytuacji musi zostać pominięty.

Sprawa zakupu śmigłowca wysokiej klasy odżyła w związku z przygotowaniami do przyjęcia na polskiej ziemi biskupa Rzymu. Po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw zapadła decyzja zakupu dwóch śmigłowców firmy Bell. Zakupiliśmy też dwa śmigłowce do potrzeb Policji.

Teraz stoimy przed problemem właściwego przygotowania załogi i obsługi technicznej. Czterech pilotów odbędzie wkrótce specjalistyczne szkolenie w USA. Do kraju wrócą w maju wraz z maszynami.

Przebywając w Stanach Zjednoczonych mieliśmy możliwość zorientowania się w sposobach wykorzystywania śmigłowców w policyjnej służbie. Powietrzne patrole okazują się niezwykle przydatne i skuteczne.

Wierzę, że utworzenie ich w ramach naszej Policji oznaczać będzie nową jakość pracy ogniw policyjnych, jak i też wyjście z zaczarowanego kręgu niemożności.

Refleksji wiceministra spraw wewnętrznych prof. Jana Widackiego związanych z pobytem w Stanach Zjednoczonych

wysłuchał JERZY KIRZYŃSKI
zdj. archiwum

Wiceminister spraw wewnętrznych prof. Jan Widacki wśród polskiej delegacji.

Wielka Brytania

POMOC Z POWIETRZA

Brzęczyk telefonu postawił na nogi czteroosobowy zespół London Crusader („Londyński Krzyżowiec"). Po chwili biały, dwusilnikowy śmigłowiec „Dauphin" poderwał się do lotu. Mijała druga minuta od przyjęcia informacji o wypadku drogowym w odległości 25 km od siedziby zespołu ratunkowego. Komputer zaplanował trasę przelotu.

Okazało się, że kobieta prowadząca samochód zginęła na miejscu, natomiast uczestniczący w zderzeniu motocyklista miał złamane kończyny oraz doznał obrażeń głowy. Po udzieleniu mu pierwszej pomocy przez paramedyka (przeszkolonego pielęgniarza), rannego przewieziono do szpitala.

Od chwili powstania, podniebne pogotowie ratunkowe uratowało życie 10 osobom, znacznie więcej rannych dzięki natychmiastowej pomocy szybciej powróciło do sprawności, zdrowia. Helicopter Emergency Medical Service (HEMS) powstało z inicjatywy chirurga dr Alastira Wilsona, finansowo wspiera je koncern prasowy Express Newspapers. Efekty pracy zespołu są niepodważalne, dzięki helikopterowi może on w ciągu kilku minut dotrzeć na miejsce tragedii. Pomoc karetki pogotowia przecinającej się przez zatłoczone ulice często okazuje się spóźniona.

— Najważniejszą sprawą nie jest przewiezienie pacjenta do szpitala, lecz umiejętna reanimacja — uważa dr Mark Dalton. — Specjalistyczna pomoc w ciągu pół godziny trzykrotnie zwiększa szanse rannego na przeżycie. Np. statystyki wykazały, że najczęstszą przyczyną śmierci ofiar wypadków poniżej 40 roku życia są właśnie obrażenia. Dlatego też wolimy dowozić lekarzy na miejsce wypadku drogowego czy katastrofy. Co więcej nie przewozimy w takiej sytuacji rannych do najbliższego, lecz najbardziej odpowiedniego szpitala.

— Pilotowi, który nie latał nad Londynem wydawać by się mogło, że znalezienie miejsca na lądowanie stanowi poważny problem. Ale prawie zawsze udaje się nam znaleźć ogródek jordanowski, parking czy kawałek niezagospodarowanego placu. Policjanci przyzwyczaili się już do zatrzymywania dla nas ruchu ulicznego — stwierdził pilot.

na podstawie magazynu „Brytania" oprac. JK

KONKURS

NA REPORTAŻ O PRACY POLICJI

Uwolnić Jaśka!

Jeden z ostatnich słonecznych dni jesieni. Przygrzewa październikowe słońce. Skwerek bez drzew — centrum jednego z nowych, betonowych osiedli Wrocławia — zapełniony amatorami piwa i bawiącymi się dziećmi. Amatorzy piwa siedzą bądź leżą na wszystkich trzech całych ławkach na skwerku, dzieci zaś — znudzone monotonią wszechogarniającego betonu — wspaniale się bawią, rzucając w pijących kamykami i prowokując ich do pogoni. Ci jednak, zmęczeni ilością wypitego jasnego z pianką, nie mają ochoty na przerywanie biesiady i kontynuują ją, zachowując wobec wybryków nieodpowiedzialnej młódzi, spokój i opanowanie. Ot, sobota jakich wiele — nuda i monotonia.

Wtem sielankę i błogi nastrój przerywa rozdzierający krzyk kobiety: „Zabije mnie, zabije!!! Ludzie!" Zaaferowane dzieci coś sobie pokazują, zadzierają głowy do góry. Piwosze rozglądają się ciekawie...

Na dachu czteropiętrowego budynku widać mężczyznę i kobietę. Mężczyzna jedną ręką trzyma kobietę za szyję, w drugiej dzierży błyszczący w słońcu, potężny nóż. Kobieta krzyczy.

Piwosze wykazują niespodziewaną aktywność. Budzą śpiących kolegów i — popijając wciąż — podchodzą do budynku. Głośno komentują:

— Kto to?

— Nie poznajesz?! To Czesiek, ten co z pierdla wyszedł. Znowu sobie popił i mu się stara naraziła.

— Ale żeby od razu na dach i z nożem?!

— Nooo, on nerwowy jest. Komuna mu w więzieniu dopieprzyła.

— A za co siedział?

— Za rozbój. Znaczy taką facetkę ze schodów zrzucił, a jej wnuka nożem pociachał.

Ktoś przytomny biegnie do budki telefonicznej. Nie działa. Klnąc głośno, macha ręką. Przed blokiem gromadzą się gapie. Jakaś kobieta, tonem bohaterki, informuje zebranych, że już wezwała policjantów...

Policyjna nyska pojawia się dziesięć minut później. Dojrzawszy ją, stojący na dachu mężczyzna uderza kobietę w twarz i — przekrzykując jej spazmy — skanduje:

— Ch-uje!!! Spier-da-lać!!!

Mimo odległości, wszyscy widzą, że jest kompletnie pijany. Policjanci wzywają tłum do rozejścia się, wypytując, o co w tym wszystkim chodzi. Nikt nie wie. Tłum — zamiast się rozstąpić — gęstnieje.

Dowódca patrolu postanawia porozmawiać z mężczyzną za pomocą megafonu umieszczonego na dachu radiowozu. Po wydaniu kilku gwizdów, świstów i charkotów, urządzenie dławi się i milknie. Dowódca patrolu wychodzi z nysy. Nie daje za wygraną — składa ręce w trąbkę i krzyczy:

— O co panu chodzi?!

Chwila milczenia, po czym pijany mężczyzna decyduje się wygłosić przemówienie:

— Jak, kurwa, Jaśka nie wypuścicie z pierdla, to zrzucę tę kurwę głową w dół, z poderżniętym gardłem i sam siebie też wykończę. Na was będzie. Będziecie mieli, skurwysyny, nowe ofiary na sumieniu! Macie godzinę do namysłu. Za godzinę Jasiek ma tu być! Żądam, żeby gliny stąd odjechały, bo jak nie, to ją zrzucę, kurwa!!!

— Kto to jest Jasiek? — pyta policjant.

— Brat mój, kurwa. Niewinnie go wsadziliście. Uwolnijcie! A teraz zmywaj się stąd, glino śmierdząca!

Kierowca nyski przekazuje dyżurnemu w KRP treść „rozmowy" z desperatem przez radiostację. Tymczasem na miejscu pojawia się miejscowy dzielnicowy. Wzmaga to agresję szantażysty. Krzyk „chuje, wypierdalać", słychać na całym osiedlu. Bita przez cały czas kobieta, przestaje krzyczeć, zdaje się być zupełnie ogłuszona.

Na skwerek zajeżdża druga policyjna nyska. Wysiada z niej podinspektor Kowal — zastępca komendanta rejonowego Policji. Dzielnicowy przedstawia mu, co wie o „bohaterach" zajścia: on — Czesław Lubicz — karany trzykrotnie, w tym raz za rozbój, ona — Franciszka Lubicz — karana za nielegalny handel alkoholem. Wspólnie z Janem Lubiczem, bratem Czesława, obecnie osadzonym w więzieniu za zgwałcenie nieletniej, wywołują notorycznie nocne awantury na klatce schodowej. Żadne z nich nie pracuje — utrzymują się z handlu alkoholem i zasiłków dla bezrobotnych...

W tym czasie Czesław Lubicz stawia po raz kolejny swoje ultimatum, ale już w formie nieco podnioślejszej:

— Żądam, żeby wszyscy policjanci się oddalili, bo jak nie, rozwalę łeb sobie i babie. Walczę o mojego brata, którego Policja i mafia komunistyczna zamknęła niewinnie w więzieniu.

Tłum piwoszy bije Cześkowi brawo. Jakaś starsza pani zaczyna tłumaczyć stojącemu obok niej sześciolatkowi coś o „czerwonej nomenklaturze". Podinspektor Kowal rozkazuje swoim podwładnym wycofać się tak, by ich nie było widać. Poza nim na placu boju pozostaje jeden funkcjonariusz ubrany po cywilnemu, dysponujący krótkofalówką — „łącznik" z radiowozami. Kowal rozważa, czy nie nakazać ludziom stojącym przed budynkiem, rozejść się do domów. Mógłby to zrobić, strasząc ich kolegiami za utrudnianie działań organom ścigania, lecz wtedy cywil z krótkofalówką nie miałby się gdzie ukryć — gapie zostają. Podinspektor przypomina sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o psychologii. Zastanawia się, jak rozładować napiętą sytuację. Wreszcie wie — występuje z tłumu. Jest doskonale widoczny — jedyny na miejscu człowiek w mundurze — błyskawicznie przyciąga to uwagę szantażysty.

— Glino! Spierdalaj stąd do swoich! Chuju jeden!!!

O to chodziło podinsp. Kowalowi. Wiedział, że musi odciągnąć uwagę terrorysty od małżonki, a jego agresję skupić na sobie. W tym celu drażni desperata swoją obecnością i krzykiem:

— Zamknij się Lubicz!!! Gnoju śmierdzący! Jak cię złapię, to do końca życia w mamrze zgnijesz!!!

Rybka połknęła haczyk. Lubicz rzuca stek najobrzydliwszych wyzwisk pod adresem podinspektora. Ten odpowiada mu pięknym za nadobne. Zaczyna się — groteskowo z boku wyglądające — wzajemne obrzucanie się „mięsem" między oficerem Policji i pospolitym kryminalistą. Tymczasem ten ostatni, w ferworze walki na obelgi, zapomina, po co wszedł na dach i puszcza z uścisku żonę. Franciszka Lubicz siada na dachu i płacze. Policjant reaguje natychmiast — prz[illegible] Lubicza najgorszymi przekleństwami, [illegible]ie tylko może wymyślić — żeby sobie tylko nie przypomniał o siedzącej obok żonie. Cywilny podwładny Kowala jest pełen podziwu dla szefa:

— Nigdy nie sądziłem, że potrafi pan tak kląć...

— Nauczyłem się od brata. Jest kapitanem w marynarce wojennej.

Już ponad pół godziny trwa ta wzajemna wymiana epitetów rynsztokowych. Całe osiedle jest świadkiem niebywałej rywalizacji w przekleństwach między panem władzą a przedstawicielem światka przestępczego. Kowal czuje się zmęczony, choć jego przeciwnik zdaje się dopiero rozkręcać i zaskakuje wszystkich niesamowitym wprost zróżnicowaniem repertuaru. Podinspektor zdejmuje czapkę, ociera pot z czoła, rozluźnia krawat...

— Powiedz dyżurnemu KRP — zwraca się do cywila — żeby nam tu podesłał antyterrorystów. W końcu, od takiej roboty ich mamy, nie tylko do sprawdzania, czy w szkołach nie ma bomb...

— Już są. Czekają na pańskie decyzje.

Faktycznie — komandosi z brygady antyterrorystycznej już od dwudziestu minut są na miejscu. Niewidzialni, przyczajeni na dachach dziesięciopiętrowców, obserwują rozwój sytuacji, czekają. Są gotowi, by w każdej chwili unieszkodliwić Czesława Lubicza. Kilku z nich przedostaje się niezauważenie na tyły czteropiętrowca. Przez okienka wchodzą do piwnic. Przyczajają się pod drzwiami do klatek schodowych. W milczeniu poprawiają oporządzenie, sprawdzają broń. Czekają.

Tymczasem Kowal kontynuuje pojedynek z Lubiczem. Teraz jednak zmierza do uspokojenia terrorysty:

— Słuchaj Lubicz! Jesteś szmata, ale z klasą. Może ci nawet uwolnią tego brata!

Lubicz oniemiał. Po ogromnej ilości przekleństw usłyszał od policjanta coś, co połechtało jego próżność.

— Pewno, że uwolnią, kurwa. Nie mają wyjścia. Niewinnego wsadzili!

Korzystając z nieuwagi szantażysty, Kowal przejmuje od cywila krótkofalówkę.

— Pozwolisz Lubicz, że spytam przez radio, czy twój brat jest już w drodze?!

— A pytaj, gnoju, pytaj. Zobaczysz, że go puszczą. Wałęsa nie pozwoli, żeby niewin-

nego trzymali. Nie zastraszycie mnie. Komuniści!!! Będę bohaterem!

Podinspektor Kowal analizuje sytuację. Franciszka Lubicz znajduje się teraz około dwóch kroków od męża. Siedzi na dachu. Lubicz stoi, jest pewny siebie. Nie ma w ręku noża. Przez radio dobiegają informacje o rozlokowaniu pododdziałów specjalnych.

— Słuchaj Lubicz. Postanowili go zwolnić, ale pod warunkiem — zagaduje terrorystę.— Otóż obaj musicie podpisać, że już nigdy nie popadniecie w konflikt z prawem — wymyśla na poczekaniu bajkę, którą Lubicz natychmiast kupuje.

— My wam, kurwa, możemy podpisać, ale uwolnijcie go już i zmieńcie nam dzielnicowego!

O to Kowalowi chodziło. W czasie dyskusji z przestępcą, komandosi powinni zdążyć wejść na dach... Pada decydujący rozkaz:

— Grupa szturmowo-interwencyjna — na dach. Grupa zabezpieczająca — przygotować na wszelki wypadek ładunki obezwładniające — Kowal mówi cicho do krótkofalówki. Następnie krzyczy do Lubicza — Lubicz! O dzielnicowym musimy porozmawiać...

Komandosi biegną po schodach przeskakując po trzy, cztery stopnie. Po drabinkach wchodzą na dach. Nie zauważeni ukrywają się za kominami. Ich koledzy, leżący na dachach pobliskich dziesięciopiętrowców, wstrzymują oddech. Wszystkie lufy skierowane są teraz w jednego człowieka — Czesława Lubicza.

— Lubicz! — głos Kowala jest pełen napięcia. — Nie mamy tylu dzielnicowych, żeby ich zmieniać...

— To nic nie podpiszę!

Dowódca grupy szturmowo-interwencyjnej daje znak komandosowi leżącemu na dachu dziesięciopiętrowca. Komandos, wyposażony jest w miotacz pocisków kauczukowych, rozumie polecenie. Tu wszystko musi być wykonane błyskawicznie i bez słów. Liczą się wszak ułamki sekund. Dowódca wyjmuje swego colta. Dwaj jego podwładni robią to samo. Trzeci jest już za kominem, o trzy metry od Lubicza. Słyszy jego pogróżki pod adresem Kowala i dzielnicowego. Zdejmuje z ramienia miotacz siatki obezwładniającej. Patrzy w stronę przeciwległego dziesięciopiętrowca. Podnosi prawą dłoń. Pada strzał.

Kauczukowy pocisk trafia Lubicza precyzyjnie — w splot słoneczny. Wystrzelona ułamek sekundy później siatka, paraliżuje wszystkie jego ruchy. Komandosi wyskakują zza kominów. Wyjmują oszołomionemu nóż zza paska, chwytają go za ręce i nogi. Znoszą po schodach...

Dziwny orszak, złożony z komandosów w pełnym oporządzeniu, niosących krzyczącego wniebogłosy Czesława Lubicza w siatce, wychodzi z klatki schodowej. Gapie biją brawo. Podinspektor Kowal łapczywie łyka, podane przez jakiegoś usłużnego pijaczka, piwo...

Z klatki schodowej wychodzi płacząc Franciszka Lubicz — niedoszła ofiara — prowadzona przez dwóch komandosów. Krzyczy: — Ludzie!!! Ratujcie! Męża mi komuna do więzienia zamyka!!!

„LION" — Krzysztof Nimorski (II nagroda)

KONKURS ROZSTRZYGNIĘTY

26 marca 1991 r. odbyło się posiedzenie komisji konkursowej w składzie: przewodniczący komisji Elżbieta Cierlica — redaktor naczelny „GP" i „MK 997"; Marian Cabalski — dyrektor Biura Prezydialnego KGP; Andrzej Czop — rzecznik prasowy komendanta głównego Policji; Wojciech Wróblewski — rzecznik prasowy ministra spraw wewnętrznych; Wiesław Paluszyński — naczelnik Wydziału Prasowego MSW; Marcel Tabor — sekretarz odpowiedzialny redakcji „GP" i „MK 997", Agata Guzdek-Wrotna — redaktor „GP" i „MK 997". Na konkurs nadesłano 24 reportaże i 5 fotoreportaży.

Komisja po zapoznaniu się z pracami postanowiła nie przyznać **I nagrody. Nagrodę II ufundowaną** przez ministra spraw wewnętrznych otrzymał **Krzysztof Nimorski** — godło **„Lion"** — za reportaż pt. **„Uwolnić Jaśka"** — 1 000 000 zł.

Dwie III nagrody, ufundowane przez komendanta głównego Policji, otrzymali: **Elżbieta Sitek** — godło **„Obserwator"** za reportaż pt. **„Klincz"** — 900 000 zł. **Andrzej Zembik** za fotoreportaż pt. **„Pojednanie"** — 800 000 zł.

Ponadto komisja przyznała 5 wyróżnień, każde po 600 000 zł.

Otrzymali je: **Adam K. Podgórski** — godło **„Waga"** za reportaż pt. **„Muzyka łagodzi obyczaje"**, **Elżbieta Sitek** — godło **„Strzelec"** za **„Krajobraz po bitwie"**; **Andrzej Popielski** — godło **„Stańczyk"** za **„Trzy piętra pod Pałacem Mostowskich"**; **Jacek Lindner** — godło **„Różowa pantera"** za **„Po prostu tygrysy"**; **Jan Płaskoń** — godło **„Kren"** za pracę pt. **„Węzeł"**.

Wszystkim, którzy nadesłali prace na konkurs dziękujemy za udział. Laureatom — gratulujemy.

O terminie wręczenia nagród powiadomimy listownie.

SAMO ŻYCIE

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Na początku bieżącego roku, wraz z innymi turystami odwiedzającymi nasz kraj, przyjechało do nas pewne małżeństwo z Leningradu. Przyjechali oczywiście w celach turystycznych, gdyż nasza ojczyzna jest już na tyle blisko Europy, że warto się do nas pofatygować.

Kiedy jednak owa para turystów zamierzała opuścić Polskę, w ich bagażach celnicy znaleźli 20 sztuk telefaxów. Żadnego z kontrolujących zupełnie by to nie zainteresowało, gdyby nie towarowy list przewozowy, który miał uprawniać do wywozu tychże urządzeń. Pech Leningradczyka chciał, że celnik był na tyle uważny, że na przedstawionym dokumencie (kserokopia) dostrzegł ordynarne fałszerstwo. Papier był na tyle nieudolnie przerobiony (skserowany?), że w miejscu, gdzie wpisywano „telefaxy" widniał dający się odczytać napis „kserokopiarki". Liczba przewożonych urządzeń również została przerobiona z 90 na 20. Dokument wystawił jeden z warszawskich składów celnych „IGM Trading".

Po stwierdzeniu tego faktu udający zaskoczenie Rosjanin wyciągnął drugi dokument zezwalający na wywóz tych samych telefaxów. Ale i tu celnik odkrył fałszerstwo listu przewozowego.

Rzecz jasna delikwent z bagażem został wystawiony z pociągu na peron. Tu poproszono go grzecznie o pozostanie na miejscu, aby kontrola, która zostanie za chwilę przeprowadzona, była bardziej dokładna.

Nim jednak do tego doszło Rosjanin skontaktował się telefonicznie z Warszawą i w dość nerwowy sposób przedstawił swoje pretensje w stosunku do firmy, która jakoby chciała go zrobić w przysłowiowego konia. W odpowiedzi usłyszał kilka słów pociechy i zapewnienie, że właściwe dokumenty natychmiast zostaną przesłane na punkt graniczny.

Nie czekając aż obietnica zostanie spełniona, obrotny Rosjanin zatrzymał zmierzającego do granicznego przejścia dla samochodów żuka, na który zapakował swój towar. Jednak i tu został zawrócony z granicy.

Rosjanin został zatrzymany przez policjantów Komendy Rejonowej w Sokółce i noc spędził w areszcie na podstawie decyzji miejscowego prokuratora.

Powiecie Państwo, że przedstawiona opowieść jest wyjątkowo tuzinkowa i mało dramatyczna? Jeżeli tak, proszę jeszcze o chwilę wyrozumiałości.

Następnego dnia prokurator zmienił decyzję. Jednym słowem: zwolnić zatrzymanego, faxy oddać, gdyż... przestępstwo (owo fałszerstwo dokumentów) zaistniało na terenie Warszawy, więc kuda nam do tego.

Czy jednak chcący uniknąć pracy prokurator postąpił właściwie.

Skąd miał pewność, że fałszerstwo dokumentów nastąpiło na terenie Warszawy, nie zaś Białegostoku?

Skąd wiadomo, w jaki sposób Rosjanin wszedł w posiadanie tych dokumentów?

Sam fakt posiadania takich papierów nie jest jeszcze karalny. Każdy obywatel każdego państwa może na terenie naszego kraju kupić nawet i tysiąc telefaxów i również nie zachodzi tu przestępstwo. W opisanym przypadku zaistniało ono dopiero w MOMENCIE PRÓBY PRZEMYTU, ta zaś miała miejsce na terenie woj. białostockiego. Co na to zainteresowany prokurator? Czy nie lepiej było zrobić przeszukanie w firmie, która wydała sfałszowany dokument, przesłuchać właściciela firmy i jego zeznania skonfrontować z zeznaniami Rosjanina? Przy dobrej woli sprawę dałoby się załatwić w 48 godzin.

A teraz trochę z innej beczki. Każdy skład celny w chwili wyprowadzenia z jego terenu towaru sporządza „Postanowienie o przekazaniu sprawy". Ten dokument jest wystawiony w miejscu nadania i określa się w nim: jaka osoba odpowiada za dostarczenie towaru za granicę, jakiego jest on rodzaju, w jakiej ilości, jakiej wartości, w jakim terminie ma być dostarczony na granicę i do którego punktu granicznego. Tak więc jeśli postanowienie oryginalne opiewało na kserokopiarki (nie zaś wywożone przez Rosjanina faxy) „Canon", 90 sztuk i celnik potwierdziłby na przedstawionym przez Rosjanina dokumencie wywóz towaru za granicę, to następnie wypełniłby zaświadczenie, w którym zostałby wpisany tylko numer dostarczonego na granicę dokumentu. Skąd nieuczciwy Polak mógłby wprowadzić do krajowej sprzedaży towar (kserokopiarki) unikając płacenia państwu podatku. Ile takich numerów zostało już wykonanych. O ile zubożono przez to skarb państwa?

Warto się nad tym wszystkim zastanowić, gdyż pieniądze, których zabraknie w budżecie zostaną wyciągnięte m.in. z mojej i czytającego kieszeni.

PAWEŁ SZLACHETKO

Francja

24

GODZ
W KO

Komisariat to jednostka policyjna, która nigdy nie śpi, bezpośrednio związana jest z burzliwym życiem miasta i jego różnorodnymi problemami. Oto migawki z życia komisariatów policji w Orleanie, a następnie w Lille.

ORLEAN — ZWYCZAJNY DZIEŃ

Godz. 5.00. W komisariacie to czas zmiany nocnych ekip. W obszernym, podziemnym garażu 15 pojazdów jest gotowych do rozpoczęcia rutynowych patroli. W sali sztabu dowodzenia dzwonek telefonu nr 17 przywołuje dyżurnego. Kobieta żąda interwencji policjanta: od piętnastu minut jakiś osobnik dobija się bez przerwy do drzwi jej mieszkania.

Najbliższy patrolowy radiowóz to „Rzeka 66". Wewnątrz dwóch funkcjonariuszy. Brygadier sztabu przedstawia im sytuację. Za kilkanaście sekund „Rzeka 66" jest na miejscu. Intruz oddalił się. — Żądająca p[illegible]cy miała szczęście — wyjaśnia dyżurny sztabu — o tej porze interwencja może być szybka. Wcześniej, w nocy, pierwszeństwo mają wezwania nagłe i poważniejsze, groźne wypadki drogowe lub inne przypadki zagrażające zdrowiu lub życiu obywateli.

6.00. Sztab dowodzenia to serce komisariatu. Wspomagany przez dwóch brygadierów, brygadier-szef przyjmuje zgłoszenia, ocenia priorytety oraz drogą radiową rozdziela zadania załogom, które nieustannie patrolują rejon jednostki policyjnej.

W sztabie wszystko jest scentralizowane. Trzy kanały radiowe (jeden dla pogotowia policyjnego i dwa dla służb porządkowych), dwie linie telefoniczne dla nr 17, łączność ze strażą pożarną — bezpośrednie połączenie z policją municypalną i innymi miejskimi służbami [illegible]dministracyjnymi. Sala sztab[illegible] dowodzenia wyposażona została w 12-liniowy rejestrator, który umożliwia nagrywanie wszystkich telefonicznych zgłoszeń.

Poprzez system Minitel sztab utrzymuje stałą łączność z prefekturą, z której uzyskuje natychmiast informacje dotyczące wydanych dowodów rejestracji pojazdów w całym departamencie. W głębi sali, pod ścianą, umieszczono komputery. Pierwszy to rejestr poszukiwanych osób oraz skradzionych pojazdów, obejmujący cały kraj. Drugi ma połączenie ze wszystkimi bankami rejonu komisariatu. W przypadku napadu rabunkowego włącza się natychmiast system alarmowy i komputer od razu dostarcza niezbędnych informacji, dotyczących napadniętego banku, jego położenia oraz szczegółowych danych o systemach bezpieczeństwa, w które został wyposażony. Jest to najnowszy komputerowy system bezpieczeństwa, z którego w ramach eksperymentu korzystają wszystkie komisariaty Rouen i Orleanu.

8.00. Już chyba po raz setny tegoż ranka odzywa się w szta-

ZINY
OMISARIACIE

bie dzwonek siedemnastki: kobieta pobita przez męża wzywa pomocy, szef dyżurny za pomocą ściennego planu lokalizuje radiowozy w sektorze. Drogą radiową przekazuje załodze patrolu „Rzeka 52" adres kobiety.

10.00. Na biurku komisarza Aymesa stos teczek dotyczących wypadków drogowych. W 1989 roku jego służby wzywane były do 1350 kolizji z ofiarami w ludziach. Za plecami komisarza wisi mapa jedenastu gmin, które wraz z Orleanem stanowią rejon, za bezpieczeństwo którego jest on odpowiedzialny. Od godz. 8.00 zapoznał się z wydarzeniami minionej nocy, rozdzielił zadania swoim ludziom, potem uczestniczył w naradzie dotyczącej zabezpieczenia zbliżających się obchodów święta Joanny d'Arc.

W Orleanie zatrudnionych jest 327 funkcjonariuszy policji państwowej na 220 000 mieszkańców (nie licząc ludności okolicznych gmin): 266 mundurowych policjantów, 44 inspektorów oraz 17 osób personelu administracyjnego. Załoga komisariatu nie pracuje w jednym gmachu. Poszczególne służby rozdzielone są w pięciu biurach, rozmieszczonych w mieście.

— Usiłujemy dostosować naszą taktykę do posiadanych środków oraz rodzaju przestępczości, z którą się spotykamy — mówi komisarz Aymes. — Dzisiaj najbardziej niepokoją dzielnice-sypialnie, które są wybranym celem dla złodziei, parkingi i inne miejsca zgromadzeń, gdzie mnożą się kradzieże pojazdów oraz kradzieże przedmiotów pozostawianych w wozach. Bezpieczeństwo mieszkańców jest naszym priorytetem i w tym celu strefy podległe komisariatowi podzielono na rejony. Przydzieleni do poszczególnych rejonów funkcjonariusze patrolują swój teren pieszo lub na motorowerach.

11.00. Piętnastu inspektorów komisariatu uczestniczy w przeszkoleniu w międzydepartamentalnym centrum szkolenia policji (CISF).

12.30. W samoobsługowym barze panuje ożywiony ruch. Wystrój wnętrza (jasne ściany i duże szyby z widokiem na zieleń, drewniane stoły w stylu ludowym) zapewnia odprężenie funkcjonariuszom. Tu nie obowiązują stopnie i hierarchia, jest za to zakaz rozmów o pracy. Naprzeciw wejścia jest również sklepik. W sprzedaży dresy, kieszonkowe latarki i inne drobne przedmioty, wszystko w dostępnych cenach. W pobliżu sala sportowa, dobrze urządzona i wyposażona w sprzęt. O tej porze bardzo uczęszczana. Codziennie pod okiem instruktorów można uprawiać ulubione dyscypliny sportowe oraz dbać o kondycję fizyczną.

13.40. Z domu towarowego „Monoprix" dzwoni telefon do sztabu dowodzenia z meldunkiem o kradzieży z wystawy. Przechodzimy do pokoju głównego komisarza Perrier, szefa policji kryminalnej. Klasyczne biurko ze stosem dossier. Na ścianach sporo małych akwareli z jego podpisem. To hobby komisarza. Naprzeciwko biurka duży owalny stół, przy którym może usiąść cały sztab, kierujący prawie pięćdziesięcioma funkcjonariuszami, rozmieszczonymi w dziesięciu brygadach... Mała złodziejka z „Monoprix" nie jest znana służbom policyjnym, ma dopiero 15 lat, skradła bieliznę wartości 241,50 franków. Dyrektor domu towarowego złożył skargę.

W Orleanie kradzieże i włamania stanowią 75 proc. przestępczości kryminalnej. W 1989 roku zarejestrowano 13 433 zbrodnie, i inne czyny przestępcze, w tym 3487 kradzieży z samochodów, 1385 zwykłych kradzieży w miejscach publicznych oraz 1706 kradzieży z włamaniem.

16.30. Na parterze, w głębi korytarza trzech funkcjonariuszy przyjmuje meldunki: 3600 w ciągu czterech pierwszych miesięcy 1990 roku. Tegoż poranka zgłoszono 16 meldunków, w tym 10 kradzieży, 1 oszustwo i 1 czek bez pokrycia.

— Od dwóch tygodni — wyjaśnia komisarz Perrier — notujemy spadek przestępczości. W tym momencie napływa meldunek od jednego z wozów interwencyjnych o kolejnym, poważnym przestępstwie.

18.00. Trzech mężczyzn podróżujących samochodem R 5 koloru białego dwukrotnie usiłowało w jednym z domów towarowych puścić w obieg podrobione banknoty. Podejrzani osobnicy przejeżdżają akurat niedaleko siedziby komisariatu. Komisarz Perrier zawiadamia brygadę finansową, obejmując kierownictwo operacji. Dzienna zmiana komisariatu Orleanu kończy swoją służbę...

LILLE — NOCNA SŁUŻBA W MIEŚCIE

Trwają ostatnie przygotowania funkcjonariuszy nocnej zmiany przed udaniem się do centralnego komisariatu, mieszczącego się przy bulwarze Marechal Vaillant. Całkowity kontrast z Orleanem. Usytuowany w samym centrum miasta wielki stary gmach jest siedzibą wszystkich służb. Naprzeciwko wejścia parking dla służbowych wozów. Między 21.00 a 6.00 rano kilku policjantów pełni tu służbę.

20.30. Szef jednostki jest już na miejscu. Sprawdza, czy wszystko jest przygotowane dla nocnej zmiany. Przybywający na służbę funkcjonariusze przebierają się w mundury. Dziennik z instrukcjami znajduje się na pierwszym piętrze, u brygadierów dyżurnych: „patrole wokół synagogi, siedziby sądu okręgowego i innych gmachów publicznych, służba przy sztabie dowodzenia, nadzór nad ruchem kołowym, ochrona obiektów policyjnej jednostki pomocniczej przy ul. Wagnera".

21.00. Trup w miejscowości Mons-en-Baroeul. Jeden z inspektorów miejskiej policji wraz z grupą funkcjonariuszy służby kryminalnej udaje się na miejsce. Natychmiast powiadomiono zastępcę prokuratora. Mąż znalazł swoją żonę utopioną w wannie. Inspektor wraca z mężem ofiary na przesłuchanie do biura dyżurnego policji kryminalnej.

21.30. Wyjazd jednego z pięciu mikrobusów na rutynowy patrol. W środku trzyosobowa załoga: brygadier-szef i dwóch podbrygadierów. Kierunek do stacji kolejowej szeroką arterią, prawie pustą. Kierowca skręca w prawo, wjeżdżając w uliczkę słabo oświetloną. Ogrzewanie wewnątrz mikrobusu szwankuje, radio zgrzyta i słyszalność niewyraźna. Brygadier-szef, siedząc obok kierowcy pilnie obserwuje ulice. Pracuje w policji 25 lat i nigdy nie miał poważniejszych problemów. Nieustanna i pilna uwaga jest niezbędna, aby nie dać się zaskoczyć. Służąc w patrolu PS (Police Secours), czyli w pogotowiu policji, trzeba być przygotowanym na wszystko, nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć.

22.15. Samochód osobowy z trzema mężczyznami wewnątrz pełnym gazem przejeżdża skrzyżowanie na czerwonym świetle. Brygadier-szef wie z doświadczenia, jak w takim przypadku, z pomocą innych radiowozów PS, należy działać. Po krótkim pościgu uciekinierów zatrzymano. Samochód był skradziony. Załoga mikrobusu zatrzymuje samochód jadący pod prąd. Wychodzi bardzo zmartwiony kierowca, wiezie żonę przyjaciela, która lada chwila będzie rodzić. Brygadier-szef pozwala mu odjechać.

23.15. W podziemiach metra patrol policyjny zatrzymuje dwie młode uciekinierki. Zawiadamia dyżurnego biura policji kryminalnej i ten z kolei rodziców. Komisariat centralny wysyła samochód do przewiezienia dziewczyn.

0.15. Młoda prostytutka dochodzi do brygadiera-szefa PS. Skarży się, że od dłuższego czasu śledzi ją podejrzany samochód. Brygadier-szef radzi jej, by wróciła do domu.

Z placu Lion d'Or funkcjonariusz brygady nadzoru nocnego (BSN) powiadamia, że jego patrol obserwuje osobnika, który od pewnego czasu kręci się w pobliżu zaparkowanego samochodu. Mikrobus udaje się w tym kierunku.

1.19. Pada deszcz. Zasadzka udana. Dwóch złodziei skutych w kajdanki doprowadzono do mikrobusu. Ujęci zostali na gorącym uczynku przez patrol BSN. Funkcjonariusze tych brygad pracują przeważnie trójkami i po cywilnemu.

1.50. Powrót do komisariatu. Gorąca kawa w sali kantyny, która służy również do wystawiania trofeów zdobytych przez funkcjonariuszy w zawodach sportowych. W celach tymczasowo aresztowanych przebywa jedenaście osób, w tym kobieta — zabójczyni własnego dziecka.

3.30. Wracają ze służby policjanci brygady przewodników psów służbowych.

4.00. Tej nocy dokonano 19 włamań. Brygadierzy piszą na maszynie ostatnie raporty, a inspektorzy przyjmują ostatnie skargi.

5.19. Jeszcze jednego pijanego umieszczono w celi do wytrzeźwienia. W centralnym komisariacie w Lille zaczyna się nowy dzień. Siedemnaście aresztowań między 21.00 a 6.00 rano.

Noc była spokojna...

na podst. miesięcznika „Civic"

oprac. MARIAN OWCZAREK

TECHNIK NA LINIE

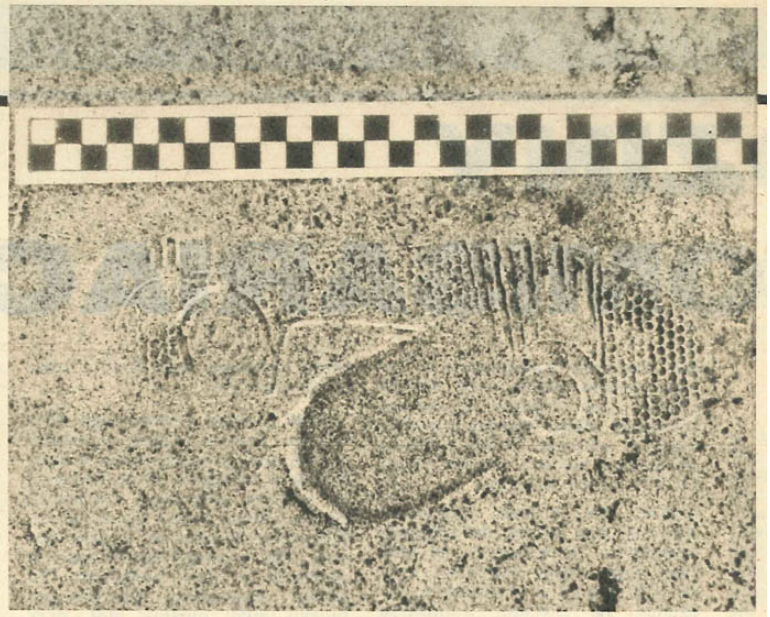

HENRYK MAKARSKI

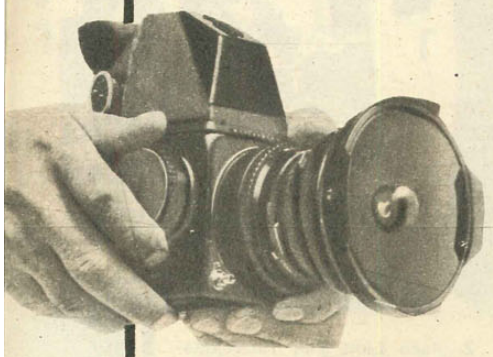

Aspirant Ryszard Chocholski z Laboratorium Kryminalistyki KRP w Lublinie wczołgał się, z aparatem fotograficznym na szyi, na oblodzony dach dziesięciopiętrowego wieżowca. Co prawda akrobatycznego przeszkolenia w toku -nastu lat milicyjno-policyjnej służby nie zdążył zaliczyć, ale jak mus to mus. Bo technik w rejonie to nie tylko pstrykanie...

Dzisiejszy dyżur nie zapowiadał takich emocji. O czternastej asp. R. Chocholski przyjął służbę od kolegów, wysłuchał ich relacji. Asp. J. Tracz i sierż. M. Ciechanowski przez 3 godziny przeprowadzali oględziny pomieszczeń kasy „Społem" przy ul. Gospodarczej, gdzie dokonano włamania. Przywieźli do komendy zabezpieczone ślady obuwia i linii papilarnych, guzik, oraz dwie kłódki i obudowę wpustu zamka.

Asp. Zbigniew Świstowski na miejscu włamania do prywatnego sklepu w Płouszowicach spędził aż 4 godziny. Najwięcej czasu zabrało mu wypiłowanie zwykłą ręczną piłką (o elektrycznej może tylko pomarzyć) fragmentu solidnych dębowych drzwi z odciśniętym śladem łomu.

Godz. 14.15. Policjanci z V Komisariatu dowożą trzech delikwentów podejrzanych o przestępstwa kryminalne. Młodzi mężczyźni bez oporu sadowią się na specjalnym krześle. Prawy profil, en face, sylwetka w pozycji stojącej, koniec pstrykania. Delikwenci na korytarz, technik do ciemni.

Tymczasem z aresztu policyjnego doprowadzono dwie osoby zatrzymane (poszukiwane) bez dokumentów tożsamości, a przeznaczone do przewiezienia do aresztu śledczego. Tam przyjmują tylko do godz. 16.00 i koniecznie z fotografią. Po upływie 5 minut od pstryknięcia konwojenci otrzymują gotowe zdjęcia.

— W cywilizowanym świecie stosuje się aparaty „Polaroid". Pstryk i natychmiast wysuwa się kolorowy konterfekt... — mówi aspirant.

Naczelnik laboratorium przyjmuje zamówienie na dokumentację fotograficzną wizji wypadku drogowego. Obiecuje przysłać Ryszarda Chocholskiego o godz. 18.30 — wedle życzenia. Dopiero 16.00 i asp. Chocholski może spokojnie zaszyć się w ciemni, zająć obróbką chemiczną zaległych filmów.

Godz. 17.00. Chocholski siada za biurkiem i uzupełnia dokumentację przed wysłaniem do laboratorium KWP.

Godz. 17.45. Czas szykować się do udziału w eksperymencie śledczym. Technik wrzuca do ambulansu manekina, statyw, dodatkowe oświetlenie i wózek do mierzenia odległości, do kieszeni wkłada sekundomierz. Aparat fotograficzny zawsze wisi na szyi, a pod ręką jest walizka śledcza.

— Pijany zmotoryzowany przejechał pijanego pieszego — mruczy technik, gdy wysiadamy z nysy. Zimno, porywisty wicher, na jezdni przymrozek. Z okoliczności towarzyszących wczorajszemu wypadkowi tylko godzina się zgadza — wczoraj była odwilż, breja. Ale eksperyment musi być, nie możemy czekać do lata. Kulą się wszyscy: prokurator, dochodzeniowiec, biegły — rzeczoznawca, policjanci, świadkowie. Tylko manekina to nie wzrusza. Polonez z WRD najeżdża na plastikową kukłę kilka razy, z różną prędkością i zmiennym oświetleniem. Jeszcze tylko komplet pomiarów i można wracać. Trochę spokoju i skrzypienia kartek w aktach. Aż do tej niesamowitej historii z „lotnikiem"...

Godz. 23.15. Terkot telefonu. Ktoś wypadł z balkonu wieżowca przy ul. Zana. Wypadł czy został wypchnięty? Tłumek gapiów na trawniku, zwłoki mężczyzny, obok skrzynka balkonowa. Trzaski migawki, błysk flesza, trzask i błysk, trzask i błysk. Policjanci zakładają gumowe rękawiczki, przeszukują odzież denata. Twarz trudno rozpoznać w kałuży krzepnącej krwi. Przy zwłokach zostają policjanci z IV Komisariatu, technicy (asp. R. Chocholski i kom. T. Rembek) wędrują z dochodzeniowcami po zakamarkach wieżowca. Lokatorzy chętnie informują, słyszeli, jak coś dużego obijało się o skrzynki balkonowe i rąbnęło o trawnik. Kierują nas na ostatnie piętro, do meliny pana M. Nikt nie otwiera.

Dowiadujemy się, że M. jest rozwiedziony, ale była żona mieszka w tym bloku, na innym piętrze, ma klucz. Otwieramy. Odór rozkładającego się ciała. Dr Andrzej Szałkowski nie ma wątpliwości:

— Nie żyje przynajmniej od tygodnia...

Balkon nie tylko zamknięty, ale zastawiony fotelem. A więc wersja wypchnięcia z meliny odpada. Kiedy M. był pijany, nikogo nie wpuszczał.

Powiadomieni o północy pracownicy Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych przyjeżdżają dopiero po 4 godzinach.

— Dobrze, że w ogóle przyjechaliśmy, za te pieniądze nie warto — warczą. Zabierają zwłoki, my szukamy dalej. Suszarnia, pralnia, strych, szyby w okienkach wybite — łatwy dostęp na dach. W kącie drobne banknoty, strzępy gazet, dowód osobisty Piotra K. Lokatorzy potwierdzają:

— Tak, to Piotr K., lump z sąsiedniej ulicy. Widocznie wchodził przez balkon i spadł.

Czy spadł bez pomocy innych? Trzeba sprawdzić do końca, wejść na dach. Ale jak? Ciemno, zimno, porywisty wiatr. Wracamy do „firmy". Bierzemy linki i pasy asekuracyjne. Rozwidnia się, można wchodzić. Ale kto? Zaczyna padać śnieg, może zatrzeć ślady. Pan Rysio niewiele myśląc zakłada pas strażacki, przypina się do liny asekuracyjnej, a my mamy mocno trzymać jej koniec... Po chwili widzę

zdj. R. Chocholski

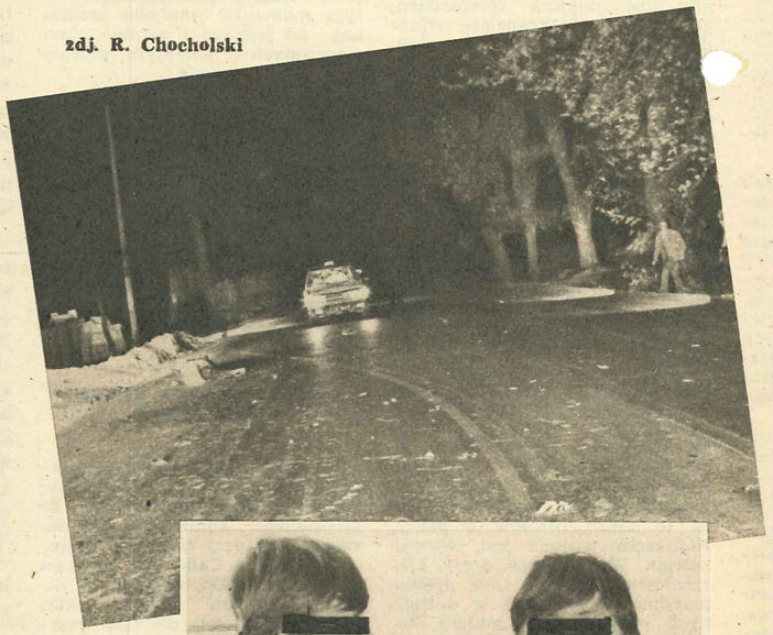

tylko zwisające z krawędzi dachu jego ręce z aparatem. Trzask i błysk...

Kom. Rembek zdążył już obsłużyć wypadek drogowy oraz włamanie mieszkaniowe. Asp. R. Chocholski miał kończyć dyżur o 22.00, ale został dłużej, taka potrzeba. W tej robocie pośpiech jest złym doradcą. Jeśli dokumentacja ma być skuteczna, musi być dokładna. Co najmniej tak dokładna jak ta, którą sporządzono w związku z napadem mieszkaniowym. Mimo trudnych warunków zabezpieczyli ślady linii papilarnych, które doprowadziły do zatrzymania Cyganek, rozproszonych po całej Polsce. Drugi przykład: włamanie do sklepu futrzarskiego przy ul. Narutowicza. Na ocalałych fragmentach szyby pozornie nic nie było, a jednak dociekliwość i cierpliwość techników przyniosła efekt w postaci śladów kompleksowych całej dłoni. Na widok tej ekspertyzy recydywista skapitulował; wskazał miejsce ukrycia kożuchów i powędrował na 3 lata do ZK. Trzeci przykład: włamanie do centrum komputerowego Akademii Rolniczej, gdzie...

— Niestety, nie wszystko jest tak wspaniałe, jak w opowieściach Rysia — włącza się do rozmowy naczelnik, podinsp. Zdzisław Kasprzak, który przyszedł właśnie do pracy (jest ósma rano!), a myśmy jeszcze z niej nie wyszli... — Technika musi cechować wyobraźnia, powinien wcielić się w osobowość przestępcy, to ułatwia ujawnianie śladów. Niestety, nawet najlepiej, najsumienniej zabezpieczone ślady mają tylko połowiczną wartość dowodową, gdyż nie ma gwarancji, że zostaną efektywnie wykorzystane w procesie wykrywczym. Trzeba jeszcze właściwie wytypować sprawcę, a to już nie nasze zadanie. Tymczasem w komisariatach często idzie się na łatwiznę: dekoracyjne ujęcie bałaganu na miejscu przestępstwa, taka sztuka dla sztuki, a nie dla dokumentacji śladów — mówi podinsp. Z. Kasprzak. A potem oczywiście narzeka na trudności.

Braki są, ale nie czekamy z założonymi rękami. Znaleźliśmy sponsora, ufundował nam część nowej aparatury. Dostaliśmy z CLK do testowania urządzenie do zabezpieczania śladów pyłowych. Oczekujemy na obiecane środki do ujawniania śladów na skórze ludzkiej. Marzymy o zorganizowaniu — we własnym zakresie — urządzenia do śladów traseologicznych. Czekamy z utęsknieniem na przyjęcie naszych policjantów na specjalistyczne kursy techników. Jak długo można czekać na zakończenie procesu przeobrażeń policyjnej bazy szkoleniowej? Przestępcy nie chcą poczekać.

„PATOS" W AKCJI

Każdy samolot przylatujący na Okęcie z tzw. Złotego Trójkąta (Tajlandia, Birma, Laos) czy z krajów Ameryki Południowej kryć może w schowkach wypełnionych bagażami podróżnych marihuanę, haszysz, morfinę, opium. Do walki ze sprytem i przebiegłością pseudoturysty-przemytnika staje wówczas wyszkolony owczarek niemiecki po trzymiesięcznym specjalistycznym kursie tropienia i wykrywania narkotyków.

Szkolenie psów w Sułkowicach zaczyna się od zabawy polegającej na aportowaniu przez psa przedmiotów nasączonych haszyszem, marihuaną lub heroiną. Później ćwiczenia stają się coraz trudniejsze. Przedmioty nasączone narkotykami na oczach czworonoga chowane są do schowków. Pies musi je przynieść przewodnikowi. Następny etap to przeszukanie pomieszczenia, w którym ukryty został narkotyk.

Po ukończonym kursie każdemu psu wystawia się oceny z egzaminów m.in. za: skoki przez płotki o wysokości 60 cm, pokonywanie ściany 160 cm, chodzenie po drabinie, przeszukiwanie terenu, ściganie i zatrzymywanie uciekających oraz te najważniejsze — wyszukiwanie narkotyków.

Potem szkolenie psa toczy się już indywidualnie. Przewodnik doskonali umiejętności psa przypominając mu za pomocą odpowiednich ćwiczeń wyszukiwanie wyuczonych zapachów. Pies tropiący narkotyki może efektywnie pracować do 10-tego roku życia.

Jeżeli zatem łącznik mając narkotykowy proszek ukryty np. w prezerwatywach, które włożył w buty, zobaczy na lotnisku policyjne patrole z psami, serce zaczyna mu bić szybciej, wysycha gardło i pocą się ręce. Czworonożny detektyw to trudny przeciwnik, nie jest przekupny, ale także nie jest niezwyciężony.

Często w praktyce do przeszukiwania pomieszczeń i walizek podróżnych np. z dwóch samolotów wykorzystuje się przeważnie tylko... dwa psy. Zdaniem przewodników jest to zbyt duże obciążenie, aby praca psów przyniosła jakikolwiek efekt. Zmęczony czworonóg nie potrafi skoncentrować się, a to działa na korzyść narkotykowego przemytnika.

Gdy jednak tak, jak to jest w USA, do przeszukania dwóch samolotów wyznaczono co najmniej 10 psów z przewodnikami, po 15 minutach intensywnej pracy pierwszy pies ustąpiłby miejsca drugiemu, ten z kolei trzeciemu itd. Czy narkotykowy przemytnik miałby wtedy szansę?

*

„Patos" już podczas pierwszej samodzielnej akcji na Okęciu wraz z przewodnikiem st. sierż. Józefem Pakułą z ówczesnego wydziału PiR SUSW (obecnie Wydział Informatyki KSP) nie dał żadnych szans pasażerowi z Dubaju. Jego odświeżacze powietrza mające postać świec okazały się... haszyszem

Po tym sukcesie „Patos" brał udział w różnych akcjach. Najwięcej z nich miało miejsce jednak nie na Okęciu, lecz w melinach narkomanów lub w ich mieszkaniach.

Gdy funkcjonariusz z obawą przekraczał próg gustownie urządzonego mieszkania, „Patos" bez wahania doprowadził do naczynia w kuchni, gdzie był przechowywany narkotyk. Syn właściciela podejrzewany o przemyt odmówił złożenia wyjaśnień. Wydawało się, że to beznadziejna sprawa, gdy nagle w ich domku letniskowym „Patos" znów złapał trop.

Funkcjonariusze musieli przeszukać zawartość kuchennej szafki, każdy kubek, każde zamknięte pudełko. W pewnym momencie „Patos" wspiął się na przednie łapy i usiłował doskoczyć do wiszącej szafki. St. sierż. Pakuła zrozumiał, co pies chciał mu podpowiedzieć. Funkcjonariusze zmienili taktykę poszukiwań. Między sufitem a kuchenną szafką w dobrze zamaskowanej szczelinie znaleziono w torebce foliowej około 40 dkg haszyszu.

W mieszkaniu Krystyny G., której 20-letnia córka była narkomanką, poszło im łatwiej. Pudełko po herbacie napełnione marihuaną stało na parapecie w pokoju dziewczyny.

Następnym razem, kiedy funkcjonariusze zatrzymali radiowóz przed domem, w którym mieszkała Kazia trudniąca się produkcją kompotów ze środków odurzających, „Patos" przytrzymał za nogawkę spodni mężczyznę wychodzącego z klatki schodowej. Z kieszeni jego kurtki wypadła strzykawka napełniona działką makowego kompotu.

Z kolei na Woli w biały dzień było ciemno od much-owocówek zwabionych zapachem „makiwary". Kilka lat temu mieszkała tu trzyosobowa rodzina. Ale pewnego dnia ojciec zginął tragicznie, matka wyjechała za granicę, a córka wybrała narkotyki. Od tej pory często odwiedzali jej mieszkanie policjanci oraz Patos ze swoim przewodnikiem.

Po 10 latach takiej pracy „Patos" jako emeryt został własnością przewodnika. W policyjnej służbie zastąpił go „Argon".

*

Niektórzy naukowcy zajmujący się problemem narkotyków i narkomanii twierdzą, że im surowiej przestrzega się zakazu handlu i posiadania środków odurzających, tym bardziej wzrasta ich cena, a ceny, gdy w grę wchodzi uzależnienie, nie są hamulcem przed kupnem, nie jest nim nawet popełnienie rozboju czy zbrodni. Czy narkotyk stałby się mniej niebezpieczny, gdyby jego obrót opanowany był przez monopol państwowy tzn. gdyby był kupowany na receptę w aptece? Dla pewnej części społeczeństwa jest to jedyne rozwiązanie.

Polska Policja w tej materii również nie zasypia gruszek w popiele: apeluje do świadomości środowisk zagrożonych demoralizacją oraz doskonali metody walki z tą patologią. I tak np. do pojedynku z „handlarzami śmiercią na raty" staną wkrótce foksteriery, które będą szkolone do wykrywania narkotyków. Małe, zwinne i uparte zajrzą tam, gdzie owczarek niemiecki często nie może się dostać. Czy narkotykowy przemytnik lub konsument narkotyków będzie miał wtedy mniejsze szanse do prowadzenia swojej przestępczej gry, przyszłość pokaże. Otóż na narkotykach jedni i najliczniejsi dorobią się garbu od ciężkiej pracy, inni dochrapią się majątku, jeszcze inni za swą słabość zapłacą najwyższą cenę — życie.

JOLANTA SZUTKOWSKA
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

PS KSP informuje, że zakupuje psy celem przeszkolenia ich na kursach dla psów tropiących, obronnych i kursach specjalnych (wykrywanie materiałów wybuchowych, zwłok, narkotyków). Każdy pies spełniać powinien następujące warunki: wiek od 1 do 3 lat, zdrowy, silnie zbudowany, rasa — owczarek niemiecki, rottweiler, foksterier. Ceny do uzgodnienia. Chętni proszeni są o dokonywanie zgłoszeń pod numerem telefonu 45-781-55.

UROCZY „MAJKEL"

— Pewnej sierpniowej nocy zgłosił się jakiś Amerykanin, podobno okradziony ze wszystkiego na Okęciu... — opowiada sierż. Roman C., lat 33, policjant Komisariatu Kolejowego Policji Warszawa-Wschodnia. — Wystawiliśmy mu stosowne zaświadczenie, no i jakoś żal mi się zrobiło obywatela USA, zaprosiłem go do siebie, z żoną byłem w separacji, miejsca w domu dużo. Po tygodniu w czasie dancingu Majkel ulotnił się dyskretnie razem z moimi kluczami do mieszkania, altanki i kajdanek... Zrezygnowałem z formalnego zgłoszenia kradzieży (radiomagnetofon „Sony" i parasolka), bo nie wierzyłem w odzyskanie swoich rzeczy i zatrzymanie sprawcy.

— Było to podczas wakacji, wracałyśmy ekspresem „Pieniny" z Warszawy w szampańskich nastrojach, kiedy w drzwiach przedziału stanął przystojny blondyn o sportowej sylwetce... — wspominają uczennice Liceum Medycznego z Mielca, oczarowane Amerykaninem, który łamaną polszczyzną zapytał, czy może się dosiąść. Przystały ochoczo. A kiedy przybysz oświadczył, że jest studentem ostatniego roku chirurgii plastycznej w Chicago — oniemiały z zachwytu. Dwie z nich zaprosiły go do siebie.

Elegancko ubrany młodzian wywołał w podkolbuszowskiej wsi sporą sensację. Wszystkie kumy wyległy na podwórko, by podziwiać „kawalira" Iwonki. Michael Dan Khadival nie ukrywał zadowolenia z wczasów w dostatnim domostwie rodziców poznanej w pociągu panienki.

— Ptasiego mleka mu u nas brakowało — mówi matka Iwony. — Obiecywał zaproszenia do USA, cuda-niewidy, no to mu dogadzaliśmy. Sprzedał mi za 200 USD radiomagnetofon „Sony" podobno z „Pewexu", ale bez gwarancji i instrukcji. Zaproszeń nie załatwił, a radiomagnetofon i tak zabrała Policja jako skradziony, podobno policjantowi z Warszawy... Nie wliczam tu kosztów pobytu tego oszusta w moim domu; był on bardzo wybredny i musiałam wydać dużo pieniędzy na zakup wymyślnej żywności...

I tak oto przyszły „zięcio", duma i chluba całej rodziny, przekształcił się w oczach niedoszłej teściowej w złodzieja i kosztownego obżartucha. Ale zanim gorzka prawda wyszła na jaw, „Majkel" nadal brylował. Kiedy mu się już u Iwonki przejadło, przeprowadził się do Kasi. Oczywiście podróż odbył nie byle czym, a wynajętym na postoju TAXI w Kolbuszowej białym mercedesem. Pochodzący z Mielca taksówkarz Zenon S. kręcił kierownicą od 20 lat i różnych numerantów już woził, ale ten...

— Elegancko ubrany, kulturalny amerykański student, obrabowany na Okęciu, chirurg plastyczny, ojciec dyrektor w koncernie General Motors (...) Czekał właśnie na przyjazd ojca z dolarami, a chwilowo potrzebował pomocy. Że nie kłamie, okazał mi pismo na firmowym druku Komendy Stołecznej Policji, no i takie z komisariatu kolejowego, że z uwagi na okradzenie upoważniony jest Michael Dan Khadival do bezpłatnych przejazdów środkami lokomocji. No i jak mu nie mogłem uwierzyć? — Zastanawia się Zenon S., nie wiedząc, iż firmowy druk KSP kupił „Majkel" na bazarze Różyckiego za 10 tys. i sam wypełnił na maszynie.

Pasażer białego mercedesa nie zabawił u Kasi długo. Już po dwóch dniach wyjechał z jej starszym bratem w okolice Płocka, by pomóc Waldkowi L. w szybkim uzyskaniu wizy do USA. Woził go Waldek do Warszawy swoim czerwonym polonezem kilka razy, a zakończyło się tym, że „Majkel" zniknął wraz z paszportem Waldka...

Kiedy „Majkel" ponownie pojawił się na postoju TAXI w Mielcu, Zenon S. ulitował się na dobre nad bezdomnym Amerykaninem. Zwłaszcza że żona wybierała się do USA i szukała kontaktów... „Kontakt" został podjęty po królewsku. A i sam „Majkel" był wzorem gościa. Nie dość, że pomagał matce i córce w nauce języka angielskiego, a córce jeszcze także w grze na pianinie, to udzielał się także w pracach kuchennych, niańczył dzieci i chodził do Kościoła.

Pan Zenek też starał się jak mógł, by zaskarbić uprzejmość drogiego gościa. Woził go do Rzeszowa i dalej.

Kiedy pobyt „Amerykanina" przedłużał się, a efektów wizowych było brak, doszło do męskiej sprzeczki. No i „Majkel" obraził się i... zniknął. A wraz z nim zniknęło nieco złota z kredensu i trochę garderoby; kalesony, podkoszulki, buty i szampony zachodnich marek. Pan Zenek zaprzysiągł zemstę i szukał złodzieja sam, ale kiedy nie znalazł, o pomoc poprosił Policję...

W prasie ukazał się rysopis oszusta. Tymczasem pracownice hotelu „Polonia" były oczarowane „Majkelem":

— Taki grzeczny i rozmowny młody i męski, dobrze ułożony. Narzekał na polskie jedzenie i zaofiarował się pokazać mi, jak się przyrządza prawdziwe hamburgery — wzdycha 40-letnia Joanna N. — Podałam mu adres domowy. Nie dość, że się spóźnił, aż godzinę, to jeszcze przyprowadził dziewczynę.

W tejże „Polonii" Michael Khadival poznał Hiszpana studiującego w Polsce, bruneta o nazwisku Gaya Tavera Jose. Pojechał z nim do Krakowa. Tam zabawiali się w hotelu pielęgniarek.

— Daj mi na chwilę klucz, muszę coś zabrać z pokoju — powiedział do wesołego Jose. Hiszpan nawet nie przypuszczał, że tym czymś okażą się jego dokumenty: paszport i karta kredytowa VISA. „Majkel" szybko wykorzystał ową kartę, meldując się w hotelu „Marriott" w stolicy i wynajmując elegancki samochód „Opel-Vectra". Personel ani trochę nie był zdziwiony faktem, iż gość zameldował się jako Waldemar L., a kartę kredytową posiada na nazwisko Hiszpana.

„Majkel" poszalał trochę oplem w stronach rodzinnych (okolice Malborka) i kiedy znudziły mu się przypadkowe dziewczynki, wrócił na Rzeszowszczyznę, zawadzając po drodze o Lublin... Co robił w Lublinie? — bliżej nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że z Lublina do Rzeszowa zajechał taksówką, za co nie zapłacił ani grosza, taksówkarz bowiem zadowolił się policyjnym „zaświadczeniem" i mglistą obietnicą kontaktów z USA.

— Nawiązał ze mną bliższy kontakt, tzn. przenocował w moim mieszkaniu — mówi Alina E., — oprowadziłam tego Amerykanina po Rzeszowie, a potem zaprosiłam na urodziny do koleżanki Edyty. Trzeba się było przesiąść z elektrowozu do parowozu, ale „Majkel" się zdenerwował: „Co? Czymś tak prymitywnym nie pojadę!" No i mimo wykupionych biletów musiałam podporządkować się jego woli i pojechaliśmy dalej taksówką.

Trzeba przyznać, że „Majkel" przypadł do gustu nie tylko Edycie, ale i jej matce. Od tej chwili aż trzy kobiety rywalizowały o jego względy.

— „Majkel" rozmawiał po polsku, ale z obcym akcentem. Czy mówił dobrze po angielsku, tego nie wiemy, bo nikt z moich gości urodzinowych nie zna tego języka. Bardzo mi się spodobało, że „Majkel" moje 21 urodziny uczcił salwą z 21 rakiet! To panisko, bo nawet gdy go ząb rozbolał, to nie chciał korzystać z polskiego środka znieczulającego.

Tymczasem „Majkel" leciał już samolotem z Aliną do ambasady USA w Warszawie. Wrócił z plikiem czystych druków i niejasną nadzieją na przyszłość. Na otarcie łez kupił Alinie w sklepie „Jubilera" (za pieniądze uzyskane ze sprzedaży złota skradzionego u taksówkarza Zenona S.) — okazałą obrączkę.

KSIĄŻĘ OSZUSTÓW

Komunikat: „Komenda Wojewódzka Policji w Krakowie pod nadzorem Prokuratury Rejonowej Dzielnicy Kraków-Śródmieście prowadzi dochodzenie przeciwko Adamowi Badowskiemu, s. Jana ur. 27.09.1947 r. w Bydgoszczy, poprzednio wielokrotnie już karanemu za kradzieże i oszustwa. Wymieniony wyłudzał od różnych osób pieniądze, biżuterię i inne wartościowe przedmioty pod pretekstem zorganizowania reklamy firm. Przedstawiał się jako funkcjonariusz kontrwywiadu, kolejarz, fotoreporter, redaktor PAP. Niekiedy używał pieczątki o treści: „Agencja Usług Projektowo-Reklamowych LONGART, red. — Andrzej Sikora — Dyrektor — 00-168 Warszawa". Osoby pokrzywdzone proszone są o skontaktowanie się osobiste lub telefoniczne z WDŚ KWP, tel. 104-246, 104-233, 104-260 lub najbliższą jednostką Policji".

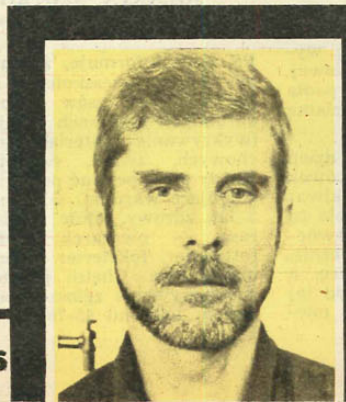

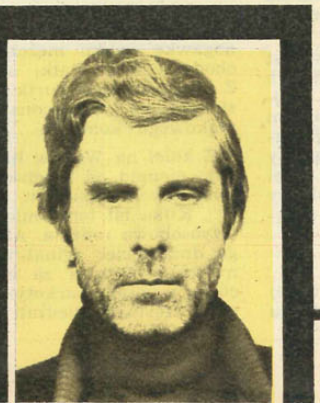

W tych suchych sformułowaniach zatraca się bogactwo życiorysu człowieka, który zasługuje na miano, jeśli nie króla, to na pewno księcia oszustów. Ot, weźmy zwyczajnie brzmiący zwrot: „kilkakrotnie już karany". Kryje się za nim karta karalności, która wskutek doklejania wydłużyła się do półmetrowej wstęgi. Tymczasowe aresztowania, osiemnaście (!) wyroków sądowych. W sumie kilkadziesiąt lat pozbawienia wolności. Nieźle jak na czterdziestotrzylatka.

Z załączonych zdjęć wyziera twarz przystojnego, szpakowatego mężczyzny z wąsikiem i bródką.

Adam Badowski zawsze dbał o swój wygląd i ubranie. Perfekcyjnie wcielał się w rozmaite role. W zależności od potrzeb i rozwoju sytuacji bywał to dziennikarzem „Życia Warszawy", „Dziennika Polskiego", „PAP", to fotoreporterem, to dyrektorem prężnej agencji reklamowej. Najgrubszą „zwierzynę" oszałamiał dyskretnym napomknięciem o swej służbie w kontrwywiadzie. Komuż nie zaimponowałaby przecież znajomość z polskim Jamesem Bondem

Zawsze w eleganckiej skórzanej kurtce, z aparatem dyndającym niedbale na ramieniu, wojażował po kraju taksówkami, gościł w renomowanych hotelach i wyłącznie „gwiazdkowych" restauracjach. Ujmującą aparycją, błyskotliwą inteligencją i znakomitymi manierami zjednywał sobie sympatię otoczenia. Realizując przestępcze machinacje, potrafił wkręcić się i na naukowe sympozja i na posiedzenia towarzystw charytatywnych. Umiał również omamić kutych — zdałoby się — na cztery łapy — menadżerów poważnych przedsiębiorstw.

Dawno temu studiował chemię na toruńskim uniwersytecie, ale w połowie nauki opuścił go zapał do zgłębiania tajników materii. Świadomie czy też nie, wstąpił na drogę, którą niegdyś przemierzył już słynny alchemik i szalbierz Cagliostro, i nie zboczył z niej, choć los, jak tamtemu, nie szczędził mu przykrych nauczek. Cóż bowiem znaczy powołanie?!

W listopadzie 1988 roku na mocy zarządzenia sądu penitencjarnego o przerwie w odbywaniu kary Adam Badowski opuścił wrocławskie więzienie. Otrzymał dyspozycję, by w stosownym terminie stawił się w Areszcie Śledczym w Sanoku celem odsiadki pozostałych 5 lat wyroku. Ta perspektywa niezbyt mu się jednak uśmiechała. Już w lutym następnego roku został zatrzymany przez RUSW w Kołobrzegu za wyłudzenie pieniędzy. Posługiwał się wtedy dowodem Mariana Marusarza. Pod takim nazwiskiem został zdaktyloskopowany, po czym karta trafiła do CRD, by w przyszłości wywołać sporo zamieszania: oto dwaj różni ludzie

— Ech, „Marriott"! — wspomina Alina. — Bagażowy w hełmie ze złoconym pióropuszem, oślepiający blask kryształowych żyrandoli, błysk i gala! — zachwyca się Alina, która zdążyła uświadomić taksówkarza, kto zacz ów blondyn...

Taksiarz poszedł za ciosem:

— Taka ładna pogoda, po co wracać samolotem, przez szybę samochodu lepiej pan zobaczy piękno polskiego krajobrazu.

No i wrócili do Rzeszowa taksówką. Tyle że w połowie trasy „Majkel" przypomniał sobie, że nie ma pieniędzy, więc Alina już na miejscu dopożyczyła 80 USD...

Zanim Khadival trafił za kratki, uśmiał się do syta z bezradności polskich policjantów. Zatrzymali go koło Malborka: zamiast prawa jazdy (którego nigdy w życiu nie miał!) pokazał im jakiś kartonik reklamowy firmy handlowej i zasypał potokiem obcojęzycznych zwrotów. Nic z tego nie zrozumieli, więc na wszelki wypadek grzecznie zasalutowali.

Pozbawiona komputerowej łączności Policja na północy kraju oczywiście nie wiedziała, że poszukuje się już niejakiego Khadivala, niejakiego Jose Tavera, a także posiadacza paszportu Waldemara L. W końcu zatrzymano po raz drugi, ale tylko samochód, po który stawił się ajent z wypożyczalni hotelu „Marriott".

Aspirant Józef Chorążykiewicz z KWP w Rzeszowie mógł tylko pozgrzytać ze złości zębami. Wreszcie, po wielu skomplikowanych działaniach policyjnych, domniemany Amerykanin został zatrzymany na fotelu dentystycznym w Rzeszowie.

— Jestem obywatelem USA, znam prawa całego świata i wypraszam sobie, powiadomię natychmiast ambasadę i swoich adwokatów w Chicago! — trzymał fason wobec pani doktor i policjantów zakładających mu kajdanki. Ale rzeszowscy gliniarze nie w ciemię bici.

— Chce pan ze mną rozmawiać prywatnie, jako z Józefem Workiem, czy służbowo — z nadkomisarzem Policji? Różnica jest taka, że jeśli prywatnie, to ja mogę zatelefonować do agentów „Marriottu", a ci już pana załatwią?! A służbowo, proszę uprzejmie, masz pan gwarancję pełnego bezpieczeństwa w celi naszego aresztu. No, co? — spytał nadkom. J. Worek.

— No to już wolę do aresztu... — spuścił głowę 19-letni Adam K. spod Malborka i chętnie opowiedział swój prawdziwy życiorys.

— Mam wykształcenie podstawowe i kilka szkół średnich ledwie zaczętych. Z nauki w technikum łączności w Gdańsku zrezygnowałem po 2 latach, ponieważ moje zainteresowania zmieniły się z elektronicznych na muzyczne. Z liceum muzycznego też się szybko wycofałem, bo poziom za wysoki. Ale i tak trochę poduczyłem się grać na fortepianie i na tubie. Jeszcze w elektroniku trochę liznąłem angielskiego i to wystarczyło na te głupie krowy z hoteli i te chętniaczki do USA. W domu mnie się nudziło, bo kupa dzieci i kawał pola do obrabiania, więc wyjechałem w Polskę z zamiarem założenia pośrednictwa wizowego w Tarnobrzegu, gdzie mam rodzinę i gdzie takiej firmy nie ma. Ale jakoś nie było chętnych na moje usługi, no i przybrałem sobie ksywę Michael Dan Khadival, żeby zaimponować dziewczynom w pociągu, no i później już samo się bajecznie kręciło! A ten Khadival, to postać autentyczna — mój kuzyn, z którym nie utrzymuję kontaktów.

Dodać należy, że KWP w Rzeszowie komunikat poszukiwaczy wysłała do KGP w listopadzie, a ukazał się w... lutym, gdy Adam K. od dwóch miesięcy przebywał w areszcie. To jeszcze jeden dowód na poziom techniki i organizacji pracy naszej Policji. No i warto odnotować, że ostatnią osobą zadziwioną przez Khadivala był biegły tłumacz sądowy, który nie mógł zrozumieć — jeszcze na etapie udawania przez „Majkela" Amerykanina — jego angielszczyzny.

— Chyba mówi jakimś narzeczem, jak u nas Ślązacy — denerwował się tłumacz, nie mogąc „rozgryźć" slangu przystojnego blondyna.

Dodać jeszcze należy pewien smaczek kapitalistyczny. Otóż „Marriott" za żadne skarby nie chciał przyznać się do porażki w starciu z tuzinkowym oszustwem Adama K., ps. „Majkel". Szef ochrony przywitał oficera KWP w Rzeszowie z olśniewającą elegancją i szybko przyniósł pismo, z którego wynikało, że pobyt tegoż „Khadivala" został opłacony z karty kredytowej Hiszpana, czyli — wszystko okay! A policjanci z Rzeszowa ustalili, że po dwóch dniach z Nowego Jorku nadeszła odpowiedź, iż karta Hiszpana ma pokrycie tylko do 100 USD...

HENRYK MAKARSKI

mają identyczną formułę daktyloskopijną.

Z Aresztu Śledczego w Koszalinie Badowski wyszedł w czerwcu 1989 r. Tym razem w przestępczych interesach korzystał ze znalezionego (?) w pociągu dowodu Andrzeja Sikory. Najchętniej występował jako szef fikcyjnego przedsiębiorstwa reklamowego „LONGART", oferując kontrahentom-ofiarom, promocję ich firm za pośrednictwem telewizji. Udało mu się nabrać nawet amerykańskie biuro podróży, skuszone obiecanką reklamy na blankietach biletów kolejowych.

Cynicznie wykorzystywał każdą okazję zdobycia forsy. Nie cofał się nawet tam, gdzie każdego zwykłego złoczyńcę powstrzymałyby zapewne resztki sumienia. Otóż wkradł się w łaski działaczy krakowskiego Koła Przyjaciół Dzieci Chorych na Cukrzycę. Zaproponował pomoc w zorganizowaniu balu dobroczynnego w restauracji „U Szczepana". Uzyskane z imprezy środki finansowe miałyby być przeznaczone na kolonie letnie dla nieszczęśliwych, cierpiących dzieciaków.

Wraz ze szlachetnymi, lecz nieco łatwowiernymi społecznikami uczynny pan dyrektor odwiedzał sklepy, hurtownie, spółki, zabiegając o wsparcie pożytecznej inicjatywy. Ludzie biznesu nie żałowali datków na zbożny cel, przekazywali produkty spożywcze albo inne towary, które po sprzedaży zasilały fundusze koła.

Ale po paru godzinach Badowski zjawiał się u nich ponownie. Tym razem samotnie, z podaniem nakreślonym odręcznie na firmowym papierze i podbitym pieczątką „LONGARTU", a zawierającym prośbę o pożyczenie pieniędzy. Obiecywał zwrócić je niezwłocznie po balu. Kwoty bywały różne: od 1,5 do 7 milionów złotych. Według niepełnych podliczeń dokonanych przez KRP Kraków-Centrum i Wydział Dochodzeniowo-Śledczy tamtejszej KWP tylko w styczniu „zarobił" w ten sposób ponad 40 mln złotych.

Umiejętnie wykorzystywał również naiwność płci nadobnej. Pewnej pani, którą kusił mirażami wiecznego szczęścia we dwoje podprowadził, drobnostka, 23 miliony złotych. Wpadł w mieszkaniu przyjaciółki, gdzie przebywał bez zameldowania. Był na tyle nieostrożny, że wielu wystrychniętym na dudka ludziom podał jej właśnie adres. Tam słali daremne żądania oddania pieniędzy.

Policja dysponuje więc listą ponad stu adresów i nazwisk rozmaitych osób, do których zamierza się zwrócić z określonymi pytaniami. Na pewno nie są to jednak wszyscy, z którymi Badowski vel Marusarz vel Sikora zetknął się podczas półtorarocznego bujania na swobodzie. A ilu z tych nie znanych organom ścigania ludzi wykiwał?...

Prosząc wszystkich pokrzywdzonych przez Adama Badowskiego o kontakt dochodzeniowcy z KWP w Krakowie, zwracają się również z apelem do kolegów z innych jednostek. Może ktoś zapamiętał sprawy, w których przewijał się mężczyzna pokazany na zdjęciach. Mógł wtedy nosić zupełnie odmienne nazwisko.

ADAM K. PODGÓRSKI
zdj. KWP Kraków

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

Umowa o współpracy policji francuskiej i niemieckiej

Minister spraw wewnętrznych Niemiec Wolfgang Schaeuble i jego francuski kolega Philippe Marchand podpisali w Bonn umowę o ściślejszej współpracy między policjami obu krajów. Umowa ta określa m.in. warunki wymiany i staże szkoleniowe personelu policyjnego w zakresie nauki języka sąsiada. Okres nauki ustalono na trzy miesiące, a oddelegowani funkcjonariusze korzystać będą ze statusu obserwatora.

Znaczkowy interes

W Tulonie, we Francji, aresztowano dwadzieścia osób, w tym piętnastu urzędników, podejrzanych o rozsprzedawanie dziesiątek tysięcy fałszywych znaczków pocztowych. Podrobione znaczki skupowano od fałszerzy po jednym franku za egzemplarz, odsprzedając następnie według ceny normalnej, czyli po 2,30 franka. W toku przeszukań mieszkań aresztowanych członków szajki policja natrafiła na wiele tysięcy podrobionych znaczków.

Niebezpieczne związki

Były funkcjonariusz FBI Richard Miller oskarżony o dostarczenie tajnych dokumentów radzieckiemu wywiadowi skazany został przez sąd w Los Angeles (Kalifornia) na 20 lat pozbawienia wolności.

54-letni Richard Miller aresztowany został w 1984 roku. Federalne Biuro Śledcze ustaliło, że utrzymywał on kontakty ze Svetlaną Ogorodnikov, emigrantką ze Związku Radzieckiego, której dostarczał tajne informacje dotyczące amerykańskich służb kontrwywiadowczych. Za informacje te otrzymał 65 tys. dolarów.

Młoda Rosjanka, z którą Miller miał miłosno-szpiegowski romans, przebywa obecnie w amerykańskim więzieniu, odbywając 10-letni wyrok pozbawienia wolności.

Kartel kokainowy znowu uderzył

Dwadzieścia dwie osoby zabite, w tym dziewięciu policjantów, sto czterdzieści trzy ranne, dziesiątki uszkodzonych domów — oto bilans kolejnego, krwawego zamachu bombowego dokonanego za pomocą samochodu-pułapki w centrum Medellin, stolicy narkomafii kolumbijskiej. Zamachem tym szef kartelu kokainowego Pablo Escobar usiłuje zastraszyć rząd Cesara Gaviri'ego, który tamtejszej mafii narkotykowej wypowiedział wojnę.

90 śmiertelnych ofiar mniej

Ograniczenie prędkości poruszania się pojazdów do 50 km/godz. w miastach i obszarach zabudowanych oraz obowiązek zapinania pasów bezpieczeństwa dla pasażerów jadących na tylnych siedzeniach (środki wprowadzone od 1 grudnia 1990 roku we Francji) — znacznie wpłynęły na polepszenie bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Policyjne statystyki wykazały, że w grudniu ub.r., w porównaniu do grudnia 1989 roku, liczba zabitych w wypadkach drogowych zmniejszyła się o 90 osób.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Tegoroczny, czterodniowy karnawał w Rio de Janeiro zakończył się krwawym bilansem. Policja zanotowała 241 śmiertelnych ofiar. 70 osób zginęło od kul, a 25 osób zasztyletowano. Policja Rio de Janeiro codziennie notuje po kilkadziesiąt zabójstw.

WŁOCŁAWSKIE ›LEŻAKI‹

Już kiedyś pisałem, że tak się dziwnie składa, iż gdy tylko gdzieś się pojawimy — my, żurnaliści „MK 997", zaraz coś się dzieje. Tak było i tym razem we Włocławku. Zastępca komendanta rejonowego Policji podinsp. Ryszard Krzysztoszek, który przedstawił nam aktualną sytuację we Włocławku wyraził przekonanie, że będzie to spokojna noc. Tymczasem już drugie zgłoszenie, jakie otrzymała załoga radiowozu w składzie: st. sierż. Roman Sliwiński i sierż. Marek Armacki, z którą zabraliśmy się na pokład, niejednego przyprawiłoby o gwałtowne bicie serca. Zdarzenie to dla policjantów z Włocławka, jak i dla nas, nie było nowością, choć za każdym razem, jest to ludzka tragedia.

Janusz M. znany był policjantom włocławskim od dawna. Na swoim koncie miał kilka wyroków za pobicia, znęcanie się nad rodziną, włamania i kradzieże. Był częstym gościem izby wytrzeźwień i zalegał tam z opłatami, a z sądowego skierowania na leczenie odwykowe nic sobie nie robił. Dalej kradł, wynosił z domu sprzęty, które zamieniał na wódkę. Nazajutrz powinien się zgłosić do sądu na sprawę rozwodową, którą założyła jego żona przy pełnej aprobacie 18-letniego syna.

Janusz M. już nic nie ukradnie, nikogo nie pobije, a jego żona będzie wdową, a nie rozwódką. Zastajemy go wiszącego na pasku, przywiązanym do rury gazowej biegnącej pod sufitem. Wszedł na lodówkę, założył pętlę i popełnił samobójstwo, co potwierdził przybyły na miejsce lekarz pogotowia. Aby formalnościom stało się zadość policjanci wezwali na miejsce zdarzenia dyżurną ekipę dochodzeniowo-śledczą, wraz z nią przybył prokurator. Już pobieżne oględziny pozwoliły stwierdzić, że jakikolwiek udział osób trzecich jest tu wykluczony, a ponadto stukilowy Janusz M. słynął w okolicy z silnej pięści i wariant, że ktoś go powiesił, był abstrakcyjny. Zwłoki w zamkniętym od środka mieszkaniu odkryła jego żona, a największym zmartwieniem wdowy było czy Policja zapłaci za pogrzeb. W tej ponurej scenerii zabrzmiało to jak czarny dowcip.

Dramat rodziny Janusza M. potwierdza nasze przypuszczenia i przyczynę wizyty we Włocławku. Coś niedobrego działo się ostatnio w tym mieście. Drastycznie zwiększyła się liczba tzw. leżaków (w gwarze policyjnej to ci, którzy leżą upici do nieprzytomności gdzie popadnie) i liczba dowiezionych do izby wytrzeźwień. Jeżeli tylko w roku 1989 do izby trafiło 2665 pijanych, to w roku następnym było ich prawie o 100 procent więcej, bo blisko 5000. Zatrważająco wzrosła też liczba przestępstw. W 1989 r. stwierdzono ich w rejonie działania komendy miasta 3980, a już w roku ubiegłym 7287, co statystykom daje ponad 180-procentową dynamikę. Wielu twierdzi, że jest to wina zatrutego powietrza, jakie Włocławkowi serwują Fabryka Farb i Lakierów, popularny „Fajans", no i głównie kombinat azotowy. Wystarczy obejrzeć las wokół „Azotów". Jeżeli realizatorzy filmu o skutkach wybuchu bomby jądrowej szukaliby pleneru do zdjęć, mają go bez żadnych nakładów.

W przeciwieństwie do obiegowych opinii, że to zatrute powietrze powoduje, iż włocławianie po wypiciu paru głębszych padają na ziemię, albo miesza im się w głowie i dokonują przestępstw, podinsp. Ryszard Krzysztoszek uważa, że po pierwsze: jest to kwestia wzmożenia działań prewencyjno-patrolowych, po drugie: nie kontrolowanego rozwoju prywatnych placówek handlowych wręcz prowokujących do włamań i kradzieży.

Ten pierwszy czynnik spowodował, że każdy nietrzeźwy, leżący na ulicy, został szybko dowieziony do izby wytrzeźwień i dlatego wskaźnik jest tak wysoki. O wzmożonej walce z alkoholizmem może świadczyć 200-procentowy wzrost ujawnionych przypadków nielegalnego handlu alkoholem. Obecnie teren miasta ochrania średnio co noc około 30 patroli pieszych i zmotoryzowanych. W najbardziej zagrożonych punktach śródmieścia działają dwa posterunki stałe, co w praktyce oznacza, że patrolujący mają pod swoją opieką odcinek nie dłuższy niż 200 metrów, za to z kilkudziesięcioma sklepami, butikami i punktami usługowymi.

Skąd tyle służb i takie nasilenie? Komendant rejonowy Policji podinsp. Andrzej Drzewiecki i jego zastępca za słuszną uznali zasadę, że kto szybko daje, ten dwa razy daje. Okazało się, że można przełamać barierę administracyjną i płacić od ręki za każdego przestępcę zatrzymanego na gorącym uczynku. Metoda jest prosta, skuteczna i zachęcająca. Mają przygotowane druki rozkazów i policjant kończący rano służbę może od razu odebrać w kasie nagrodę za konkretny wynik. Taryfa od 50 do 100 tys. zł. We Włocławku wytworzyła się swoista zdrowa policyjna rywalizacja, a rekordzistą jest sierż. Grzegorz Ostrowski, który podczas jednej służby zatrzymał 7 włamywaczy. Za tę noc zarobił dodatkowo uczciwie ponad pół miliona złotych. Efekt tych działań jest taki, że już w styczniu w bieżącym roku liczba stwierdzonych przestępstw spadła o 80 proc. w porównaniu do stycznia ub.r. i o to chyba

wszystkim najbardziej chodzi. Przyczyniła się do tego również druga furtka finansowa i płaci się policjantom za dodatkowe nocne służby, po 10 tys. zł za godzinę. Do nocnej służby nie są kierowani ci, którzy następną zaczynają od rana. Płaci się z tzw. wakatów, ale nie dostanie ani grosza ten, w którego rejonie dokonano kradzieży lub włamania.

Kierownictwo komendy, co prawda niezbyt zgodnie z odpowiednią instrukcją Komendy Głównej Policji, podzieliło rejon miasta na sektory i podsektory, stale zmieniając służby, co okazało się bardzo skuteczne. Aby sytuacja była jasna, za lewobrzeżną część Włocławka odpowiada jedna kompania patrolowa, za prawobrzeżną druga. Kadra w obu kompaniach jest wyborowa i rywalizacja między obu drużynami iście olimpijska.

A przyczyna stwierdzonych przestępstw? Kierownictwo komendy uważa, że znaczny wpływ ma prywatyzacja po polsku. W centrum Włocławka, zwłaszcza wokół potężnej hali powstały dziesiątki, setki różnych bud, kramików. Wystarczyło kopnąć nogą w drzwi, wybić ręką szybkę i już ginął towar milionowej wartości. Jakby tego było mało postawiono tam ławki, by menelstwo mogło biwakować całą noc. Sporo właścicieli różnych kiosków i sklepików dostało pozwolenia na sprzedaż piwa i konsumowano je na ławkach, a potem były bójki, napady, wyłudzenia. Udało się te plagi opanować i sytuacja we Włocławku powraca do normy. Pomocny jest w tym system komputerowy. Kilkanaście obiektów podłączonych zostało do elektronicznego systemu alarmowego, służby zaś są tak ustawione, że od sygnału o włamaniu do przybycia pierwszej załogi nie powinno minąć więcej niż 60 sekund. Wielu włamywaczy przekonało się o skuteczności tego systemu.

I podczas tej nocnej służby przekonani zostaliśmy, że bez komputeryzacji w Policji ani rusz. Patrolowaliśmy jedną z wąskich uliczek śródmieścia, gdy sierżant Śliwiński zobaczył przemykającego chyłkiem znanego mu chuligana. Zatrzymano go i sierżant poprosił dyżurnego przez radio o sprawdzenie delikwenta. Dyżurny sierżant Jan Cichy wystukał na klawiszach jego dane i po chwili usłyszeliśmy w eterze: „Trafiony, zatopiony". Zatrzymany był poszukiwany przez wydział dochodzeniowo-śledczy jako podejrzany o dokonanie włamań. W innych jednostkach, gdzie tzw. kartoteki obsługują z reguły emeryci, takie sprawdzenie nie byłoby możliwe. Inna sprawa, że ta elektronika też wychodzi policjantom bokiem. Była gdzieś około 2.00 w nocy, gdy rozległ się alarm sygnalizujący włamanie do PKO. Trzy załogi po kilkudziesięciu sekundach gnając na złamanie karku, były już na miejscu. Sprawdzanie lokalu oraz okolic i... wszystko jest w porządku. Ten sygnał z PKO często się sam włącza i wyje w niebogłosy. Czyżby złotówka biła na alarm?

Pierwszego klienta przywieźliśmy z ulicy do izby wytrzeźwień o godz. 16.00. W tym czasie w tym przybytku spoczywało już bezpiecznie 10 pacjentów. Bezpiecznie, bo mieli zapewnioną opiekę lekarską i ciepłe łóżko, a pozostawieni na mrozie zamarzliby na kość. Policja we Włocławku i nie tylko uratowała w ten sposób niejedno pijackie życie. Ostatniego (pijany bokser demolujący restaurację hotelu „Kujawy") dowieźliśmy o godz. 2.00 i w ten sposób izba miała komplet — dwudziestu pięciu.

Poza tym tej nocy zgłoszono włamanie do poloneza, w którym chyba niezbyt rozgarnięty właściciel zostawił na widoku towar wartości kilku milionów zł, w postaci skrzynek z wędzonymi węgorzami. Awanturnego chorążego Wojska Polskiego, który chciał szarżować na Kowno, czy na Berlin, a skończył na rozbijaniu koszy, przekazaliśmy Żandarmerii Wojskowej. Spotkaliśmy też późną nocą miłą załogę sklepu elektronicznego pijącą gorzałkę stojącą na magnetowidzie „Sony", a zakąskę trzymającą na maxi-wieży „Diory". Policjanci uśmierzyli kilka awantur domowych, czyli jak zwykle. Czy to wszystko przez „morowe" powietrze?

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

Z listów

„POLICJANT PARTYZANTEM"

Jako Wasz stały czytelnik i sympatyk, ze zdziwieniem, a zarazem z dużą obawą czytałem „list" Pana Tadeusza Kosowskiego z Warszawy „Policjant partyzantem", w którym sugeruje, że mjr Jan Piwnik „Ponury" nie jest godzien być patronem Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. Oskarża go że ten „człowiek ma jednak „kainową" krew na rękach". Skąd ta pewność w oskarżeniu? Cytuje tu Józefa Bolesława Garasa: „Oddziały Gwardii Ludowej 1942—1945)", wydane przez Wydawnictwo MON z 1974 r. opracowanie Wojskowego Instytutu Historycznego. (...)

W zgrupowaniu partyzanckim „Ponurego" byli partyzanci z BCh, b. żołnierze Armii Czerwonej z oddziału Wasila „Saszki" Wojczenki i Narodowej Organizacji Wojskowej. W zgrupowaniu partyzanckim „Ponurego" znaleźli opiekę ludzie z GL „Narbutta" Ignacego Robba, oddział „Oseta" Władysława Wasilewskiego, który podporządkował się 4 lipca 1944 r. „Ponuremu" oraz 12 Gruzinów pod dowództwem lejtnanta „Kazbeka". Nie było natomiast miejsca u „Ponurego" dla rabusiów złapanych na gorącym uczynku, których spotykał sąd doraźny, mimo, że wielu chciało ukryć się w bazie partyzanckiej na Wykusie. (...)

Likwidacja bandytyzmu stała się jednym z głównych kierunków działania Polski Walczącej, tak w AK, BCh, AL jak i innych organizacjach walczących. Obecnie po prawie 50 latach, członkowie rodzin wielu rozstrzelanych bandytów (tak przez hitlerowców jak i karzące ramię Polski Podziemnej), pragną ukazać ich jako partyzantów — żołnierzy Polski Walczącej. (...)

Na Ziemi Kieleckiej mjr Jan Piwnik — „Ponury" jest bohaterem narodowym, wywodzącym się z klasy chłopskiej.

Zespołowi redakcyjnemu życzę jak najwięcej czytelników i współpracowników.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Henryk Stopa
(Radom)

PODPALIŁ RODZINĘ

W Mazańcowicach koło Bielska-Białej były strażak podpalił dom i rodzinę. W płomieniach zginął on, jego 83-letni teść, w szpitalu zmarli: żona i zięć. Przez długie sześć tygodni lekarze walczyli o życie sprawcy. Daremnie.

Piotr Sz. wśród znajomych cieszył się reputacją człowieka łagodnego, uczynnego i uczciwego. Za mocniejszymi trunkami nie przepadał. Robotny i zapobiegliwy aż do przesady, własnymi rękoma przemienił zmurszałą ruderę w okazałą, zadbaną willę. Mieszkał z żoną, pięciorgiem dzieci i dziadkiem Alojzym. Niedawno dołączył do tej gromadki mąż córki, 25-letni Jacek S.

Służył Piotr Sz. w Ochotniczej Straży Pożarnej i czynił to chyba z oddaniem, skoro odznaczono go srebrnym medalem „Za zasługi dla pożarnictwa". W lipcu 1971 roku, gasząc pożar rafinerii ropy w Czechowicach znalazł się w pobliżu eksplodującego zbiornika. Doznał wtedy groźnych poparzeń głowy, widział agonię koleżanki, strażaczki. Po tak okropnych przeżyciach stał się zamknięty w sobie. Miewał napady to przygnębienia, to nadmiernej drażliwości.

Dorabiał sobie murarką na pobliskich budowach, co niekiedy kończyło się dlań niefortunnie. Parę razy spadł z rusztowania. Chorował. Niedawno przeszedł na rentę. Boleśnie przeżywał nową sytuację, martwiąc się o byt licznej rodziny, którą de facto utrzymywał z własnej pensji.

We wtorek, 8 stycznia, w Mazańcowicach ksiądz odwiedzał parafian z kolędą. Wysprzątany dom czekał na szacownego gościa, ale miny obecnych były minorowe. Piotr Sz. posprzeczał się bowiem z teściem. Od rana chodził podminowany. Usłyszawszy dzwonki ministrantów, zamknął się w pokoju gościnnym, gdzie tradycyjnie przyjmowano proboszcza. Chcąc, nie chcąc, dziadek zaprosił duchownego do siebie.

Wybryk Piotra Sz. zasmucił rodzinę, choć byli przyzwyczajeni do przykrych incydentów. Ojciec nieraz uzewnętrzniał przypływ złego humoru, a momentami bywał nieobliczalny. Niegdyś rozwścieczony późnym powrotem żony z pogaduszek zarżnął wszystkie kury. Kiedy indziej w nagłym gniewie roztrzaskał szafkę. Wygrażał, że dokona samopodpalenia.

Gdy ksiądz wyszedł z mieszkania, Piotr Sz. opuścił swą kryjówkę i rzucając: „Ja wam teraz pokażę!", zbiegł na dół do garażu. Przebywał tam dłuższą chwilę, aż młodsza córka postanowiła sprawdzić, co robi. Ujrzała na schodach ojca taszczącego wiadro benzyny. Krzycząc uciekła na podwórze sąsiadów.

Zaalarmowani hałasem domownicy usiłowali wyrwać furiatowi naczynia z łatwopalną cieczą, której przeznaczenie nie budziło niczyjej wątpliwości. W ciasnym przedpokoju doszło do gwałtownej szamotaniny. Piotr Sz. chlustał benzyną na zięcia, syna i małżonkę. Potem wyszarpnął z kieszeni zapałki. Jaskrawy snop ognia buchnął do sufitu...

Oczom sąsiadów biegnących na ratunek ukazały się najpierw dwie wyjące z bólu żywe pochodnie. Był to podpalacz i jego zięć. Przez ścianę szalejących płomieni i burego dymu przedzierała się córka gospodarza, ciężarna Danuta S. z płonącymi włosami i dłońmi. Za nią wybiegła matka, do pasa objęta językami ognia. Alojzy B. nie zdążył uciec. Gdy pożar dogasał, wyniesiono zwłoki staruszka w na poły spalonym ubraniu.

Sześcioro domowników ciężko poparzonych przewieziono karetkami do szpitala. Czworo z nich, w tym jak już wiemy, i sprawca, zmarło. Pozostali ocaleli odnosząc ciężkie poparzenia. Tylko jednej córce Piotra Sz., tej która schroniła się u sąsiadów, udało się uniknąć tragicznego losu.

ADAM K. PODGÓRSKI

DAWAJ FORSĘ BO...

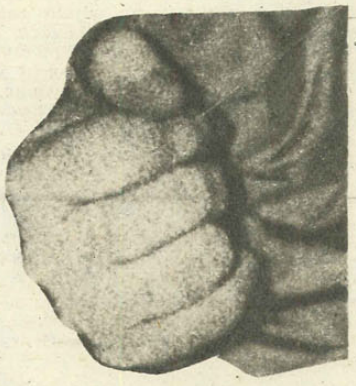

ELŻBIETA SITEK

Było parę minut po 15.00, gdy elektromonter Emil M. wyszedł z pracy. Uszedł zaledwie kilka metrów, gdy drogę zastąpiło mu dwóch mężczyzn. Pewnym siebie, rozkazującym tonem zażądali 100 tys. złotych. Emil M. wzruszył ramionami i usiłował ich wyminąć. Wtedy dostał cios w głowę, potem parę następnych i kopniaka w podbrzusze. Nim zdążył pozbierać myśli, jeden z napastników wyciągnął pistolet. Było widno, tzw. biały dzień, ulica nie w centrum Warszawy wprawdzie, ale w miarę ruchliwa, obok kilka sklepów i domy mieszkalne. Napadnięty ani przez chwilę nie pomyślał, że może grozić mu niebezpieczeństwo. Widząc pistolet pomyślał, że to zwykły straszak. Wtedy padł strzał. Na szczęście — z gazowca. Przez chwilę chwiał się oszołomiony, aż widząc wyciągnięte znowu w jego stronę ręce, sięgnął do portfela.

Wyjął żądane 100 tysięcy i dał napastnikom, po czym szybko zaczął iść w kierunku przystanku autobusowego. Przeszedł może 200—300 metrów, gdy dobiegli do niego ponownie. Tym razem było ich trzech. — Dawaj cały portfel! — krzyknął jeden. Najwyraźniej, gdy Emil M. wręczał im stówę, zobaczyli, że ma w portfelu więcej pieniędzy i żal im było puścić taką okazję. Dwaj chwycili go za ręce, trzeci sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął portfel, po czym ruszyli biegiem i za moment zniknęli w najbliższej przecznicy. Emil M. natomiast zamiast do domu udał się do Komendy Rejonowej Policji na Żoliborzu, gdzie zgłosił o napadzie i zrabowaniu mu 1 300 tys. złotych. Podał dokładne rysopisy sprawców.

Było to 15 lutego br. Przedstawione zdarzenie stanowiło 46 przypadek rozboju na Żoliborzu w tym roku. Dochodzenie podjął wydział dochodzeniowy i jak zawsze w takich sprawach plan czynności wraz z opisem zdarzenia i rysopisami napastników, przekazał również do wydziału operacyjno-rozpoznawczego oraz do dzielnicowych celem wytypowania sprawców.

Dzielnicowy XXVII Komisariatu Policji asp. Edward Szyszko pracuje w swoim rejonie kilkanaście lat. Należy do tych policjantów starej daty, o których mówi się, że w swoim rejonie znają wszystkich i wszystko, a kiedy coś się stanie, wiedzą jakimi ścieżkami dojść do prawdy. Pomyślał, popytał, poobserwował i kilka dni później przywiózł do komendy dwóch niemiłosiernie skacowanych mężczyzn: Jerzego Ch. i Andrzeja R., twierdząc, że to oni właśnie napadli i obrabowali Emila M. Zatrzymanych okazano poszkodowanemu, który bez żadnych wątpliwości rozpoznał niedawnych napastników i dokładnie opisał, kto bił, kto wykręcał mu ręce, kto strzelał. Zatrzymanie trzeciego jest kwestią czasu.

Jerzy Ch. przyznał się jedynie do tego, że kilka razy uderzył Emila M., zaprzeczył natomiast, że zabrał pieniądze. Andrzej R., recydywista, karany już wyrokiem sądu na 6 lat więzienia za rozbój, z wprawą fachowca dobrze znającego kodeks karny oświadczył w komendzie, że na zasadzie art. 63 k.p.k. korzysta z prawa odmowy wyjaśnień bez podania przyczyny. Dopiero podczas przesłuchania w prokuraturze zaczął mówić. Oświadczył, że dzień 15 lutego spędził do późnego wieczora u swojej konkubiny. Tak się jednak złożyło, że zarówno konkubina, jak jej syn zgodnie zeznali, że Andrzej R. spędził u nich tylko noc i poranek 15 lutego.

Obydwaj sprawcy rozboju trafią za kratki, w czym niewątpliwie największą zasługę ma dzielnicowy Edward Szyszko.

25 lutego około godz. 21.00 dyżurny KRP na Żoliborzu przyjął kolejne zgłoszenie o dokonanym rozboju. Nie znaczy to wcale, że od opisanego powyżej zdarzenia, czyli przez 10 dni, przestępstwa tego typu nie miały miejsca. Zgłoszony 25 lutego rozbój był już 55 z kolei.

Dwaj mieszkańcy Żoliborza, obydwaj o imieniu Robert, pożegnali na przystanku tramwajowym kolegę i mieli właśnie iść do domu, gdy podeszło do nich dwu mężczyzn. Wyższy, dobrze zbudowany, machnął im przed oczami legitymacją policyjną i kazał się ustawić do przeszukania. Zaskoczyło ich to, ale pomyśleli, że najwyraźniej coś zdarzyło się niedawno i Policja sprawdza wszystkich w okolicy. Posłusznie stanęli w rozkroku i podnieśli ręce do góry. Gdy przeszukiwano im kieszenie, poczuli, że tamci są pijani i cała sprawa zaczęła wyglądać podejrzanie. Na ucieczkę było jednak za późno. Wyciągnięto im z kieszeni portfele (Robert G. miał 280 tys. zł, Robert D. — 700 tys.), a następnie zaczęto ich zmuszać do... wypicia piwa, które napastnicy mieli ze sobą. W tym momencie nadjechał tramwaj i nim zdążyli się zorientować, prześladowcy odjechali. Pokrzywdzeni pobiegli na portiernię AWF-u i zadzwonili po Policję. 5 minut później podjechał nie oznakowany radiowóz z dwoma policjantami, za chwilę dołączył następny. Policjanci zabrali pokrzywdzonych i ruszyli na penetrację okolicy. Koło zajezdni tramwajowej na przystanku zobaczyli dwóch mężczyzn. — To oni! — wskazali zgodnie. Mężczyźni stali spokojnie, nie zwracając uwagi na cywili wysiadających z poloneza. Chwilę później siedzieli już w radiowozach i jechali w kierunku komendy. W pewnym momencie policjant siedzący obok zatrzymanego zobaczył, że usiłuje on upuścić na podłogę samochodu legitymację policyjną...

Przywiezionych do komendy mężczyzn dokładnie przeszukano. Oprócz wymienionej legitymacji, która okazała się prawdziwa i o której za chwilę, mieli przy sobie: pierwszy — 6 milionów złotych, drugi — 500 tysięcy złotych. Nie mają stałego zatrudnienia, podali, że parają się handlem obwoźnym. Prawdopodobny przywódca grupy — rosły Edward R., ten, który „grał rolę" policjanta, był karany za rozbój w 1986 r. i z kary 9 lat pozbawienia wolności odbył połowę, po czym warunkowo został zwolniony kilka miesięcy temu. O legitymacji policyjnej powiedział, że znalazł ją na Placu Wilsona kilka godzin wcześniej, co wydawało się mocno podejrzane, choćby dlatego, że należała do funkcjonariusza Policji z KWP w Katowicach. Następnego dnia przyjechał powiadomiony policjant, którego nazwisko i fotografia widniały w legitymacji i okazało się, że utracił ją 6 dni wcześniej, kiedy to wracając z pracy został w Gliwicach napadnięty i okradziony przez Cygana. Jak legitymacja trafiła w ręce Edwarda R. w Warszawie na razie nie wiadomo, faktem jednak jest, że karę pozbawienia wolności odbywał on w więzieniu właśnie w Gliwicach, gdzie zapewne zostały mu stare znajomości.

*

Mimo przedstawionych sukcesów policjantów daleko jeszcze do stanu zadowolenia. Spośród 55 rozbojów, jakie w ciągu dwu miesięcy zdarzyły się na Żoliborzu tylko 8 jest wykrytych. W pozostałych policjanci szukają sprawców, niestety w wielu przypadkach z newielkimi szansami na powodzenie. O ile bowiem w opisanych zdarzeniach ofiary napadów były trzeźwe i potrafiły podać rysopisy sprawców bądź skutecznie włączyć się do pościgu, to niestety w większości rozbojów pokrzywdzonymi są osoby pijane, które niewiele pamiętają. Czarne dni dla Policji to piątki i soboty oraz dni wypłat, kiedy to „podcięci" panowie wracający o późnej porze do domu stają się łatwym łupem bandytów. W sytuacji, gdy powszechnie wiadomo, że nasze ulice są coraz mniej bezpieczne, dużą lekkomyślnością jest również przewożenie środkami miejskiej komunikacji większej gotówki, co zrobiła miesiąc temu pani Janina Z. Pobrała z konta w banku 4,5 tysiąca dolarów i wsiadła spokojnie do autobusu. Prawdopodobnie już od banku była „pilotowana" przez przestępców, którzy wysiedli za nią na spokojnej uliczce i pozbawili ją torebki wraz z zawartością.

Mnożą się też napady na młodocianych. Miesiąc temu dwaj szesnastoletni chłopcy Piotr J. i Paweł P. zostali napadnięci, pobici i okradzeni koło własnego domu przez „prowadzących" ich od wypożyczalni kaset wideo dwóch skinów.

O skali problemu świadczy fakt, że podana liczba rozbojów w porównaniu z dwoma pierwszymi miesiącami ub. roku wzrosła aż o... 700 procent! Ze statystyki wieje grozą.

Co może robić Policja?... 22 lutego w nocy z piątku na sobotę, do służby oddelegowano ponad 40 policjantów ze wszystkich wydziałów i komisariatów żoliborskiej komendy. Uruchomiono wszystkie w miarę sprawne samochody i 20 zmotoryzowanych patroli przez całą noc patrolowało dzielnicę. Efekt? W sobotę rano nie było żadnych zgłoszeń o przestępstwach. Sposób wydaje się zatem prosty — robić tak codziennie. — Owszem, tylko kto będzie pracował w dzień? — pytają policjanci. — Przecież ci ludzie mają swoją pracę dochodzeniową, operacyjną, dzielnicowych itp. Gdyby takich 40 policjantów mieć dodatkowo... Gdyby zapełnić wakaty...

ciąg dalszy ze s. 7

sunkowo szybko doszedł do siebie po nocnych przeżyciach. Złożył relację obfitującą w wiele niezwykłych szczegółów. Między innymi podał, że kiedy bandyta stał przy ścianie, to czubek jego głowy znajdował się na tej samej wysokości, co dolna krawędź zawieszonego tam świętego obrazu, z czego — po dokonaniu odpowiednich pomiarów — można było wnioskować, że napastnik liczył około 177 cm wzrostu. Chłopiec dodał też, że nocny gość miał na sobie ciemną, długą jesionkę, taką samą jaką kupił sobie miesiąc temu w mieście ich sąsiad Szczepan Waluk. I chociaż, mimo podobnego wzrostu i sylwetki S. Waluk nie mógł być kojarzony z napadem, inspektor wysłał do niego niezwłocznie dwóch swoich ludzi, wraz z ekspertem kryminalistyki wyspecjalizowanym w sporządzaniu portretów pamięciowych sprawców metodą indentikitt. Dwa kwadranse później Rylski wiedział, że bandyta miał przy sobie płaszcz produkcji Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Próchnik" w Łodzi. Kilka godzin potem dysponował wstępną wersją portretu sylwetki przestępcy, oczywiście bez zakrytych maską szczegółów jego twarzy.

Te skąpe dane umożliwiały przystąpienie do typowania i sprawdzania kręgu osób podejrzanych. W myśl starej i zweryfikowanej w praktyce zasady taktycznej, że sprawcy należy w pierwszym rzędzie poszukiwać w pobliżu miejsca zdarzenia, wzięto pod uwagę osoby karane i rejestrowane przez milicję, zamieszkałe w okolicznych wioskach i miastach, między innymi w Nowej Soli — jednym z największych miast województwa zielonogórskiego. Jeszcze tego samego dnia przed północą zatrzymano Jana Wojcieszka, młodego, pyzatego cwaniaczka, karanego za włamania i współudział w napadzie rabunkowym. W jego mieszkaniu znaleziono podczas przeszukania trzy złote monety 20-dolarowe. Z uzyskanych informacji konfidencjonalnych wynikało, że w ostatnich dniach u Wojcieszka przebywał jakiś silny, barczysty mężczyzna, noszący ciemną jesionkę, starannie zakrywający niewielki tatuaż na zewnętrznej części prawej dłoni. Dwa dni przed napadem na mieszkanie Szumigajów widziano tych dwóch w sklepie tekstylnym w Nowej Soli, gdy oglądali czarne skórzane rękawiczki i czapki — kominiarki.

Jan Wojcieszek urodził się w tych stronach, dobrze znał mieszkańców i krążące o nich plotki. Nie mógł więc nie wiedzieć, że Szumigajowie uchodzili za najbogatszą rodzinę w okolicy, a o ich skarbach i złocie, odziedziczonych rzekomo po śmierci któregoś z krewnych, opowiadano istne legendy. Wojcieszek mógł więc nakłonić swojego kolegę do napadu na tę rodzinę, udzielając mu niezbędnej pomocy. To, że miał niezbite alibi na krytyczną noc z 16 na 17 listopada, nie tylko że nie uwalniało go od podejrzeń, lecz przeciwnie — podejrzenia te umacniało. Wersję tę trzeba było udowodnić.

Kiedy inspektor Rylski łamał sobie nad tym głowę, zadzwonił jeden z jego ludzi i przekazał meldunek, z którego wynikało, że 18 listopada przed południem pewien leśniczy, patrolując powierzone jego pieczy rewiry, dostrzegł pod wystającymi spod ziemi korzeniami starego drzewa jakieś zwinięte szmaty. Był to zrolowany męski płaszcz ciemnego koloru, z metką łódzkich ZPO „Próchnik" i licznymi plamami krwi. Obok płaszcza leżała zakrwawiona maczuga.

Inspektor zarządził natychmiastowe obstawienie i penetrację tej części lasu, ale głos jakim wydał te polecenia nie świadczył o jego optymizmie, od momentu napadu minęło prawie 48 godzin.

Śledztwo zaczęło wchodzić w coraz głębszy impas. Malała liczba wpływających informacji, rozpadały się wersje osobowe, urywały się wszystkie tropy, członkowie grupy operacyjno-śledczej tracili zapał i inwencję, tu i ówdzie padały głosy, że Rylski ma być zastąpiony kimś bardziej doświadczonym. Inspektor słyszał te opinie, ale puszczał je mimo uszu. Nie lekceważąc żadnej, nawet najdrobniejszej poszlaki ani informacji, robił wszystko, co w tych warunkach robić należało. Równocześnie czekał na wyniki ekspertyzy znalezionych podczas oględzin dwóch

TADEUSZ GROMNICKI

FORMUŁA PRAWDOPODOBIEŃSTWA

niepozornych śladów: niedopałków papierosa i opakowania po sportach. Przedmioty te musiały należeć do sprawcy, gdyż w rodzinie Szumigajów nikt nie palił tytoniu, a od co najmniej 3 dni przed napadem w domu nie było żadnych gości. A 6-letni Darek zapamiętał, że bandyta wypalił dwa papierosy i rzucił na podłogę niedopałki i puste opakowanie.

Inspektor Rylski dopilnował, aby oba dowody rzeczowe zostały wysłane do Zakładu Kryminalistyki KG MO w Warszawie zaraz po zakończeniu oględzin. W zakładzie sprawę potraktowano jako wyjątkowo ważną i bardzo pilną. Opakowanie po papierosach sport trafiło do Wydziału Daktyloskopii w celu sprawdzenia, czy występują na nim odciski śladów linii papilarnych palców. Pierwsze próby, oparte na wykorzystaniu metod optyczno-fizycznych i takich środków technicznych, jak: specjalne lupy, mikroskopy oraz proszki daktyloskopijne, dały wynik negatywny, ale to nie zmartwiło ekspertów. Mieli bowiem do dyspozycji całą gamę chemicznych metod ujawniania odcisków, a wśród nich kryminalistyczny szlagier ostatnich lat — ninhydrynę.

Ninhydryna, którą stosuje się w daktyloskopii, jest roztworem wywołującym odpowiednie reakcje chemiczne w zetknięciu z substancją tłuszczowo-potową, przeniesioną z opuszka palca na przedmiot, który został dotknięty przez człowieka. Same badania laboratoryjne polegają na tym, że dowód rzeczowy opyla się roztworem ninhydryny, obserwując następnie czy pojawiają się na nim obrazy odcisków. W zależności od rodzaju przedmiotu, wieku odcisków, temperatury otoczenia itp., okres tej obserwacji może wynosić od 1 do 24 godzin.

W tym przypadku eksperci Wydziału Daktyloskopii nie musieli czekać zbyt długo. Już po upływie niespełna 12 godzin na paczce po sportach zaczęły ukazywać się tajemnicze linie, łuki, pętlice, które w miarę upływu dalszych minut stawały się coraz bardziej wyraźne i powiązane ze sobą. Łącznie ujawniono pięć odcisków, pochodzących od pięciu palców prawej ręki jednej i tej samej osoby. Można było przypuszczać, że ktoś ścisnął w prawej ręce puste opakowanie, a następnie wyrzucił je. Pewne światło na to, kim mógł być palacz, rzuciły wyniki badań serologicznych, przeprowadzonych w Wydziale Biologii Zakładu Kryminalistyki. Dokonano tam ekspertyzy dwóch niedopałków papierosów, znalezionych podczas oględzin mieszkania Szumigajów. Na podstawie analizy znajdujących się na nich resztek śliny, stwierdzono, że palaczem był osobnik mający grupę krwi „A".

Teraz do akcji wkroczyli eksperci Wydziału Fizyko-Chemii, których zadaniem było ustalenie z jakiego gatunku i rodzaju papierosów pochodzą dowodowe niedopałki. Wprawdzie wszystko przemawiało za tym, że są to sporty, ale dla pewności postanowiono to sprawdzić metodami naukowymi. I tu nastąpił pierwszy szok — żaden z niedopałków nie miał nic wspólnego ze sportami, oba pochodziły od papierosów „Giewont".

Inspektor Rylski przyjął wyniki ekspertyz z mieszanymi uczuciami. Właściwie otrzymał wszystko, na co liczył — odciski palców sprawcy, jego grupę krwi. Były to bardzo ważne poszlaki, mogące stanowić samodzielne kryterium typowania i eliminacji kręgu osób podejrzanych. Jednak poszlaki te nie prowadziły bezpośrednio do rozwiązania zagadki sprawstwa, tym bardziej że wszystko pogmatwało pojawienie się papierosów „Giewont". Rylski popadał w coraz większy pesymizm. „A może spróbują wykorzystać daktyloskopijną formułę prawdopodobieństwa" zapalił się nagle do swojego pomysłu.

Wówczas, w 1968 roku, metoda ta była w polskiej kryminalistyce nowością. Już na początku XX wieku twórcy nowoczesnej daktyloskopii H. Galton, W. Hershel i wielu innych badaczy tego zagadnienia zauważyło, że istnieją pewne zależności (powtarzalność) między typami wzorów linii papilarnych palców obu rąk tego samego człowieka. Mówiąc inaczej, jeśli na kciuku prawej ręki występuje na przykład wzór wirowy, to jest prawdopodobne, że wzór tego samego typu może wystąpić również na kciuku lewej ręki. Ale ta wstępna teoria wymagała potwierdzenia w drodze badań kompleksowych, które zajęły wielu uczonym i praktykom ponad pół wieku. Trud ten nie poszedł na marne. Opracowane zostały specjalne tablice i zestawienia umożliwiające matematyczne określenie współczynnika błędu i bieżące korelowanie go w drodze poszerzania liczby przyjmowanych wariantów. Dla każdej karty daktyloskopijnej opracowuje się tzw. formułę daktyloskopijną, wyrażającą typy wzorów i inne szczegóły budowy linii papilarnych wszystkich 10-ciu palców obu rąk danej osoby. Stąd też, chcąc się przekonać czy zatrzymany lub podejrzany był już w przeszłości rejestrowany i czy jego karta znajduje się w policyjnym zbiorze, należy pobrać od niego odbitki ze wszystkich palców, opracować ich formułę i według niej przejrzeć karty ułożone na właściwej półce. Ujawnione na opakowaniu po sportach 5 odcisków palców wykluczały możliwość takich sprawdzeń, trzeba było znać typy wzorów linii papilarnych palców lewej ręki tej samej osoby, a to wymagało zastosowania metody daktyloskopijnej formuły prawdopodobieństwa.

Ulegając prośbom inspektora Rylskiego i jego szefów, Zakład Kryminalistyki KG MO zgodził się na przeprowadzenie takiej próby. Dwóch ekspertów pracowało nad tym bez przerwy prawie przez dwa tygodnie i wysiłek ten nie poszedł na marne. Po opracowaniu i sprawdzeniu kilku tysięcy różnych wariantów, pozostała tylko jedna formuła. Odpowiadała ona formule karty daktyloskopijnej niejakiego Marcina Lutka, urodzonego 23 września 1942 roku, zamieszkałego na stałe w Nowej Soli, woj. zielonogórskie. Z adnotacji na karcie wynikało, że Lutek został zdaktyloskopowany w 1964 roku jako podejrzany o napad rabunkowy. To, co dalej się z nim działo, czy podejrzenia sprawdziły się, czy i przez jaki sąd został skazany, nie należało już do ekspertów.

(cdn)

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: ELŻBIETA CIERLICA (redaktor naczelny 45-61-26, 20-54-18 lub MSW 149-70), RYSZARD HRYCYK (red. graficzny), Krzysztof Kilijanek, JERZY KIRZYŃSKI (zastępca redaktora naczelnego, 45-61-72, 20-16-39), Henryk Makarski (oddział red. w Lublinie, 201-01 w. 4605). Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Leszek J. Sroka, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), Cezary Woliński, Krzysztof Zaczkiewicz (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki

ADIUSTATOR: Agata Guzdek-Wretna

KOREKTA: Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: Maria Pawlak, 45-61-15

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: J. Bieniek, M. Misiewicz, M. Owczarek, A. Pałafij, A. Popielski, J. W. Wójcik.

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

Prenumerata na II kwartał wyłącznie z jednostek Policji.
Cena – 12 000 zł

Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu w II kwartale kierować pod adresem redakcji, ul. Ogrodowa 28/30, 00-896 Warszawa, tel. 45-68-66. Wpłaty należy dokonywać na konto OO NBP Warszawa 1052-7995-130 ZOJCP (prenumerata)

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo – 5000 zł, cm² – 8000 zł. Kolorowane dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 10 IV 1991
zam. 4404
REDAKTOR DYŻURNY
Paweł Szlachetko

SPORT

MISTRZOSTWA NIESPODZIANEK

62 Indywidualne Mistrzostwa Polski seniorów w boksie, zakończone niedawno w hali Gryfia w Słupsku, wykazały, że zawody tej rangi są jedynie ubogim krewnym pierwszoligowej młócki. Stało się to za sprawą braku w ringu zawodników radzieckich zasilających na co dzień polskie zespoły (zgodnie z wymogiem regulaminu mistrzostw), bojkotu turnieju przez zawodników czołowej drużyny i słabego przygotowania niektórych championów.

Faktem jest, że mistrzowskie tytuły przypadły jedynie dwom pięściarzom wywodzącym się z klubów znajdujących się w gestii MSW Dariuszowi Snarskiemu (Hetman Zamość) oraz Robertowi Budzie (Gwardia Wrocław). Darek swój pierwszy złoty medal (jest to również pierwszy tytuł mistrza kraju w historii białostockiego boksu) wywalczył po „bratobójczej" wymianie ciosów z Piotrem Marcinkowskim (Gwardia Warszawa).

Znawcy tej dyscypliny sportu jednogłośnie uznali, że właśnie pojedynek w wadze lekkiej był najbardziej zacięty podczas finałów. Sędziowie zgodnie orzekli (59 : 58) zwycięstwo Snarskiego. Czy otworzy to utalentowanemu pięściarzowi europejską czy światową kartę w karierze, zobaczymy. Opinia o jego dobrej kondycji, zwłaszcza w trzeciej rundzie mówi wiele, oby nie została zmieniona.

Do finału zdołało się przebić 7 naszych reprezentantów. Odpadli m.in. Tomasz Borowski (Gwardia Warszawa), Mariusz Dziembowski (Hetman Zamość); dwukrotny mistrz Polski Rafał Niedbalski (Olimpia Poznań), Jerzy Ciechanowski (Gwardia Warszawa), wspomniani już D. Snarski i P. Marcinkowski oraz ubiegłoroczny zwycięzca w wadze lekkopółśredniej Jerzy Ziętek (Olimpia Poznań), Robert Buda, Wojciech Bartnik (obaj Gwardia Wrocław). Na słowa uznania zasłużył najmłodszy spośród nich R. Buda, który do wywalczonego przed rokiem srebrnego krążka dorzucił złoto. Wygrywając z utytułowanym rywalem, dysponującym silnym ciosem Zbigniewem Góreckim (GKS Jastrzębie) dowiódł, że może odnosić sukcesy w wadze średniej. Czy tak też się stanie już w Goeteborgu, bardzo byśmy chcieli.

Dodać należy, że podczas turnieju nie odnotowano ani jednego nokautu, na 74 walki tylko w czterech sekundanci rzucili ręcznik na znak poddania swego podopiecznego. Tyle samo było pojedynków zakończonych przez rsc. Jeszcze jedno, obradujący w Słupsku działacze PZB postanowili zrezygnować w przyszłości z przeprowadzania eliminacji strefowych do MP. Od przyszłego roku organizowane będą otwarte mistrzostwa, z tym że w każdej wadze wystąpić może po 16 zawodników.

RAFAŁ ŁUKASZEWSKI
zdj. K. Mokrzyszewski

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Rozwiązanie konkursu ogłoszonego w nr. 5/91 „Magazynu Kryminalnego 997": 1. Nelson Mandela, 2. Ernesto Formenti, 3. George Foreman. Nagroda za poprawne rozwiązanie przypadła panu Marianowi Borowiczowi z Lublina. Gratulujemy.

A oto kolejne pytania:

1. Po raz który w finałach mistrzostw Polski seniorów znaleźli się: Jerzy Ziętek, Tomasz Borowski, Robert Buda i Wojciech Bartnik?
2. Komu przypadła tegoroczna nagroda im. red. Aleksandra Rekszy?
3. „Suspensorium" to honorowe stypendium zasłużonego mistrza sportowego, spotkanie naukowe teoretyków boksu, zagraniczna firma reklamująca wideo-kasetę zawierającą fragmenty walk wybitnych polskich pięściarzy?

Wśród czytelników, którzy w ciągu 10 dni przyślą rozwiązanie konkursu (z dopiskiem „Kibic doskonały") rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez redaktora naczelnego „MK 997". Prawidłowe odpowiedzi liczone są w tegorocznej edycji naszego konkursu.

§ Radca prawny odpowiada

PIERWSZY URLOP WYPOCZYNKOWY

Pan J. Krawczyk z Piotrkowa Tryb. i kilku innych Czytelników prosiło o informacje dot. prawa do pierwszego urlopu wypoczynkowego w służbie policyjnej podjętej po odbyciu zasadniczej służby wojskowej. W dniu 20.10. 1987 r. Pan J. K. zakończył zasadniczą służbę wojskową. W dniu 5.11.1987 r. złożył podanie w b. wojewódzkim urzędzie spraw wewnętrznych o przyjęcie do służby w MO. Do służby został przyjęty z dniem 1 marca 1988 r. Od września 1988 r. do maja 1989 r. przechodził przeszkolenie w szkole MO. Po powrocie do jednostki otrzymał 30 dniowy urlop wypoczynkowy za 1989 r. Nasz Czytelnik ma wątpliwości, czy udzielony mu wówczas urlop przysługiwał mu za 1989 r. czy jeszcze za 1988 r.

Sprawę urlopów wypoczynkowych funkcjonariuszy MO w okresie, o którym wyżej była mowa, regulowały przepisy art. 59—art. 64 ustawy z 31 lipca 1985 r. o służbie funkcjonariuszy SB i MO PRL (Dz. U. nr 38, poz. 181 z późn. zm.). oraz przepisy § 40—§ 61 (łącznie z płatnymi urlopami dodatkowymi) zarządzenia nr 60/87 MSW z 31 października 1987 r. w sprawie przebiegu służby funkcjonariuszy SB i MO (Dz. Urz. MSW nr 6, poz. 16 z późn. zm.).

Przepisy art. 59 ww. ustawy stanowiły że: „1. Funkcjonariuszom przysługuje prawo do corocznego płatnego urlopu wypoczynkowego w wymiarze 30 dni kalendarzowych. 2. Funkcjonariusz uzyskuje prawo do pierwszego urlopu po roku służby". Natomiast przepisy ww. zarządzenia nr 60/87 MSW zawierające szczegółowe zasady udzielania urlopów wypoczynkowych dla funkcjonariuszy, w kwestii, która interesuje Czytelników — stanowią, co następuje. W § 40 zdanie drugie brzmi „Prawo do kolejnych urlopów wypoczynkowych funkcjonariusz nabywa z dniem 1 stycznia w każdym następnym roku kalendarzowym po roku, w którym funkcjonariusz nabył prawo do pierwszego urlopu wypoczynkowego". Następnie w § 41 ust. 2 postanawia się: „Okres zasadniczej służby lub okresowej służby wojskowej zalicza się do okresu służby, od którego zależy prawo do urlopu, jeżeli przyjęcie do służby nastąpiło w terminie 30 dni od dnia zwolnienia ze służby wojskowej. Jeżeli z przyczyn niezależnych od funkcjonariusza przyjęcie do służby nastąpiło w późniejszym terminie, można mu zaliczyć okres zasadniczej lub okresowej służby wojskowej do okresu służby, od którego zależy jego prawo do urlopu pod warunkiem, że w określonym terminie miało miejsce jego dobrowolne zgłoszenie się do podjęcia służby".

Czy wobec fakultatywnego brzmienia cyt. przepisu należało jednak z możliwości przyznania Panu J. K. urlopu za 1988 r. skorzystać, czy też nie. Moim zdaniem w sytuacji, którą przytoczyłam na początku, Panu J. K. należało udzielić urlop za 1988 r. Wprawdzie szczegółowe zasady udzielania urlopów wypoczynkowych dla funkcjonariuszy minister spraw wewnętrznych określił na podstawie upoważnienia udzielonego mu w art. 64 cyt. wyżej ustawy z 1985 r. jednakże stosując je należy uwzględnić korzystniejsze, szczególne przepisy ustawowe, regulujące uprawnienia związane ze stosunkiem pracy (i nie tylko) osób powołanych do czynnej służby wojskowej i zwolnionych z tej służby. Uprawnienia te normują przepisy ustawy z 21 listopada 1967 r. o powszechnym obowiązku obrony (p. t. Dz. U. z 1988 r. nr 30, poz. 207 z późn. zm.). Bardzo wyraźne zastrzeżenie zawarte w ust. 5 art. 125 tej ustawy nie pozwala na inne stosowanie przepisów zarządzenia nr 60/87 MSW w tym zakresie. Ponieważ informacją na ten temat zainteresowani są Czytelnicy, przytaczam brzmienie art. 125 w całości:

„1. Pracownikowi, który w ciągu trzydziestu dni od zwolnienia z zasadniczej lub okresowej służby wojskowej podjął pracę, czas odbywania służby wojskowej wlicza się do okresu zatrudnienia w zakładzie pracy, w którym podjął pracę, w zakresie wszelkich uprawnień wynikających z kodeksu pracy oraz przepisów szczególnych.

2. Przepis ust. 1 stosuje się również w razie podjęcia pracy na podstawie skierowania terenowego organu administracji państwowej o właściwości szczególnej w sprawach zatrudnienia stopnia podstawowego, jeżeli wniosek o skierowanie do pracy został złożony temu organowi w ciągu 30 dni od zwolnienia z zasadniczej lub okresowej służby wojskowej.

3. Pracownikowi, który podjął pracę lub złożył wniosek o skierowanie do pracy po upływie trzydziestu dni od zwolnienia ze służby wojskowej, czas odbywania służby wlicza się do okresu zatrudnienia tylko w zakresie wymiaru urlopu wypoczynkowego i wysokości odprawy pośmiertnej oraz uprawnień emerytalno-rentowych.

GRAŻYNA GRZĄZEK

PROGRAM TV

SOBOTA 20.04.91 R.

Program TV 1

7.00 W sobotę rano — magazyn informacyjno-gospodarczy
7.45 Tydzień na działce
8.15 Piłkarska kadra czeka
8.35 Ziarno — program Red. Katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 Wiadomości poranne
9.10 5—10—15 — program dla dzieci i młodzieży oraz film z serii: „Było sobie życie" (16) „Fabryka w wątrobie" — serial animowany prod. francuskiej
10.35 Język angielski dla dzieci (29)
10.40 Na zdrowie — program rekreacyjny
11.00 Bellona — wojskowy magazyn wydawniczy
11.25 Telewizyjny koncert życzeń
11.55 Aktualności Telegazety
12.00 „Siódemka w „Jedynce" — francuski program satelitarny
13.30 U siebie — magazyn mniejszości narodowych
14.00 Walt Disney przedstawia
15.15 Z Polski rodem — magazyn polonijny
15.45 „Wyprawa pod podszewkę Alp" + „Olbrzymy cuda kresu" — film dok.
16.20 Rokendroler — magazyn muzyki rockowej
16.45 Program publicystyczny
17.15 Teleexpress
17.35 Ex libris
18.00 Program rozrywkowy
18.20 Butik — magazyn Grażyny Szczęśniak
18.50 Z kamerą wśród zwierząt
19.15 Dobranoc: Domel
19.30 Wiadomości
20.05 „Zwycięstwo" (cz. 2 ost.) — film fab. prod. włoskiej
21.40 Kontra.. punkt — program Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego
22.05 Sportowa sobota
22.35 Wiadomości wieczorne
22.50 Publicystyka kulturalna
23.15 Jutro w programie
23.20 „Harold i Maude" — film fab. prod. USA (1972). Reż. Hal Ashby. Wyk. Bud Cort, Ruth Gordon, Vivian Pickels i inni.
0.50 Zakończenie programu

Program TV 2

7.25 Kaliber '91 — magazyn wojskowy
7.55—11.05 Telewizja śniadaniowa
7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 „Kapitan Planeta i Planetarianie" — serial animowany prod. USA
8.35 Magazyn telewizji śniadaniowej
9.15 „Hale and Pace" — angielski program rozrywkowy
9.45 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.40 „Cudowne lata" — serial prod. USA
11.05 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
11.25 Jak się bawić w teatrze
12.15 Klub 5—10—15 — program dla dzieci i młodzieży
13.15 Zwierzęta świata: Rotorna — matka, która nigdy nie umiera (1)
13.40 Operowe wędrówki: Od Bałtyku do Alp
14.20 Program rozrywkowy
14.50 Program dnia
15.00 Myślenie Norwidem
15.30 „Santa Barbara" — serial prod. USA
17.00 Kazimierz Górski zaprasza
18.00 Programy lokalne
18.30 „Hale and Pace" — angielski program rozrywkowy
19.00 Programy na życzenie
20.00 Wielkie kreacje Wandy Wiłkomirskiej — II koncert skrzypcowy Karola Szymanowskiego
21.00 Magowie i mistycy
21.30 Panorama dnia
21.45 Słowo na niedzielę — ksiądz Janusz Pasierb
21.50 „Noble House" (4 — ost.) — serial prod. USA
23.20—23.30 CNN

NIEDZIELA 21.04.91 R.

Program TV 1

7.00 Witamy o siódmej
7.35 Kraj za miastem
7.55 Po gospodarsku
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz film z serji: Kamienna tajemnica
10.25 Język angielski dla dzieci
10.30 „Ryzykanci" (4): „Królestwo ciszy" — serial dok. prod. hiszpańskiej
11.20 Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.15 Obrona cywilna — wojskowy program publicystyczny
12.40 Program dokumentalny
13.00 Teatr dla dzieci: Ewa Nowacka „Dzień, noc — pora niczyja" cz. 2. Reż. Tadeusz Worontkiewicz
14.00 Pieprz i wanilia: „W krainach zielonego smoka i śpiewających syren" — Chińczyk w podróży
14.40 Magazyn Morze
15.00 Z archiwum Teatru Telewizji: Berthold Brecht i Kurt Weill „Mahagonny". Reż. Krzysztof Zaleski. Wyk. Stanisława Celińska, Krystyna Tkacz, Wojciech Wysocki, Antonina Girycz, Agnieszka Kotulanka, Maria Pakulnis, Pola Raksa, Barbara Sołtysik, Adam Ferency, Piotr Wyszomirski i inni
16.50 Telewizjer
17.15 Teleexpress
17.35 Wokół wielkiej sceny — magazyn operowy Piotra Nędzyńskiego
18.15 Smak życia — program Małgorzaty Snakowskiej
19.00 Wieczorynka: Walt Disney przedstawia: „Chip i Dale"
19.30 Wiadomości
20.05 „Jenny" (4) — serial prod. angielskiej
21.10 7 dni — świat
21.40 Sportowa niedziela
22.10 Wiadomości wieczorne
22.25 Rewizja nadzwyczajna — program Dariusza Baliszewskiego
22.55 Jutro w programie

Program TV 2

8.15 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
8.50 Film dla niesłyszących: „Jenny" (4) — serial prod. angielskiej
9.50 Program dnia
10.00 CNN
10.10 Jutro poniedziałek
10.30 Program lokalny
11.00 Czar starej płyty (6)
11.20 Muzyka, moja miłość — Krzysztof Zanussi
11.50 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
12.30 Express Dimanche
12.45 Gość „Dwójki"
13.00 Polska Kronika Filmowa
13.10 100 pytań do...
13.50 Wiele fortepianów, wiele rąk
14.10 Muzyczna antena 5
14.40 Kino familijne: „Bas Boris Bode" (1) — serial prod. niem.
15.30 Polacy: Jacek Kaczmarski
16.15 Podróże w czasie i przestrzeni: „Terra X: Mumie w krainie złota" — serial dok. prod. RFN
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata — przegląd TV satelitarnych
18.30 Uśmiech z Galicji: Teatrzyk „Zielona Gęś"
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Telewizja na życzenie
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Wrocław na antenie „Dwójki"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Monther Love" (1) — serial prod. angielskiej
22.40 Gość „Dwójki"
22.50 Rozmowy bez sekretów: Spór o marihuanę
23.30 CNN
23.40 Jutro w programie

PONIEDZIAŁEK 22.04.91 R.

Program TV 1

15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-Top
16.20 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.35 Encyklopedia II wojny światowej
18.00 10 minut
18.10 W Sejmie i Senacie
18.30 „Alf" (6) — serial prod. USA
18.55 Węglem i paragrafem: Szymon Kobyliński o życiu i prawie
19.15 Dobranoc: Przygody Bolka i Lolka
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji: Jerzy S. Sito „Polonez". Reż. Jerzy Sztwiertnia. Wyk. Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Janusz Michałowski, Jan Nowicki, Krzysztof Wakuliński, Bronisław Pawlik.
22.00 Msza za ojczyznę — film dok.
22.40 Wiadomości wieczorne
22.55 Jutro w programie
23.00 Język niemiecki (25)
23.45 Zakończenie programu

Program TV 2

15.25 Powitanie
15.30 Czas akademicki — młodzieżowy magazyn katolicki
16.00 Zwierzęta wokół nas
16.45 Reportaż
16.30 Widziane z Gdańska — program publicystyczny
17.30 „Kusza" (14): „Alchemik" — serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd kronik
19.00 Ojczyzna — polszczyzna
19.15 „Dwójka" proponuje
19.30 Język angielski (25)
20.00 Auto-moto fan klub
20.30 Powroty — film dokumentalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Alchemik Sendivius" (4) — serial TP
22.40 Studio im. Andrzeja Munka
23.40 CNN
23.50 Zakończenie programu

WTOREK 23.04.91 R.

Program TV 1

15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-Top
16.20 Dla dzieci: Tik-tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Przygody misia Ruxpina" — serial prod. angielskiej
17.15 Teleexpress
17.35 Spin — magazyn popularnonaukowy
18.00 10 minut
18.10 Program publicystyczny
18.30 „Marie Springet — to ja!" — film dok. Hanny Kramarczuk
19.15 Dobranoc: Hej, Bun Bu
19.30 Wiadomości
20.05 „Austeria" — film fab. prod. polskiej (1982 r.) Reż. Jerzy Kawalerowicz
21.50 Teraz — tygodnik gospodarczy
22.20 Art — sztuka
22.40 Wiadomości wieczorne
22.55 Rozmowy intymne — program Halszki Wasilewskiej
23.15 Jutro w programie
23.20—23.50 Język francuski (lek. 17—20)

Program TV 2

14.55 Program dnia
15.00 Ulica Sezamkowa
16.00 Publicystyka
16.30 Ekostres
17.00 „Wielkie podróże" (5): „Jedwabny szlak" — serial dok. prod. amerykańsko-angielsko-australijskiej
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
19.00 Publicystyka kulturalna
19.30 Język angielski (55)
20.00 Wrocław na antenie „Dwójki"
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Pink Floyd — Mur" — film prod. USA
23.25 Kulisy
23.55 CNN
0.05 Program na jutro

ŚRODA 24.04.91 R.

Program TV 1

15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-Top
16.20 Kino nastolatków: „Jeden rok w pewnej szkole" (14) — serial prod. czechosłowackiej
16.45 Dla młodych widzów: Sami o sobie
17.15 Teleexpress
17.35 System — publicystyka międzynarodowa
18.00 10 minut
18.10 Klinika zdrowego człowieka
18.30 Skarbiec — magazyn historyczny
19.15 Dobranoc: Makowa panienka
19.30 Wiadomości
20.05 „Dynastia" (80) — serial prod. USA
20.55 Studio sport: Półfinał Pucharu zdobywców Pucharu — mecz rewanżowy Manchester — Legia
22.25 Wiadomości wieczorne
22.40 Rozmowy z Nikodemem
23.10 Jutro w programie
23.15 Język angielski (25)
23.45 Zakończenie programu

Program TV 2

14.55 Program dnia
15.00 Ulica Sezamkowa
16.00 Dookoła świata — W karnawałowym Rio
16.30 Program muzyczny
17.00 „Zmiennicy" (8): „Fartowny dzień" — serial TP
18.00 Program lokalny
18.30 „M.A.S.H." — serial prod. USA
19.00 Rebusy — teleturniej
19.30 Język francuski (lek. 17—20)
20.00 Świat przedstawiony — program Andrzeja Trtkowa
20.50 Punkt widzenia — program publicystyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" — serial TP
22.15 997 — kronika kryminalna
23.15 Sport
23.25 CNN
23.35 Jutro w programie

CZWARTEK 25.04.91 R.

Program TV 1

15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-Top
16.20 Dla młodych widzów: Kwant oraz kino Kwanta: „O naturze rzeczy" (12): „Rzeka traw" — serial prod. USA
17.15 Teleexpress
17.40 Podróże na Kresy — reportaż Stanisława AugUścika
18.05 Andrzej i Maria — film dok. Tamary Sołoniewicz
18.35 Prawo prawa — czyli długi
18.50 Magazyn Katolicki
19.15 Dobranoc: Słoneczna panienka i deszczowy kawaler
19.30 Wiadomości
20.05 „Traffik" (2) — serial sensacyjny prod. angielskiej
21.00 Pegaz
21.30 Interpelacje
22.30 Wiadomości wieczorne
22.45 Studio sport: Po pucharach
23.00 Program na jutro
23.05—23.35 Język angielski (55)

Program TV 2

14.55 Program dnia
15.00 Ulica Sezamkowa
16.00 Reportaż
17.00 Publicystyka
17.30 Giełda — magazyn kupców i przemysłowców
18.00 Program lokalny
18.30 „Cudowne lata" — (powt.)
19.00 Magazyn „102"
19.30 Język niemiecki (25)
20.00 Studio sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Studio Teatralne Dwójki: Woody Allen „Śmierć". Przekład: Anna Kołyszko. Reż. Waldemar Śmigasiewicz. Wyk. Bronisław Wrocławski, Aldona Grochal, Majka Cyrwus, Jerzy Świech, Jerzy Grałek, Janusz Krawczyk i inni.
22.50 CNN
23.00 Program na jutro

PIĄTEK 26.04.91 R.

Program TV 1

15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-Top
16.20 Dla dzieci: Cojak
17.05 Język angielski dla dzieci
17.15 Teleexpress
17.35 Raport — przegląd wydarzeń międzynarodowych
18.10 „Chłopi" (4): „Wesele" — serial TP
19.00 Od „Kapitału" do kapitału
19.15 Dobranoc: Bouli
19.30 Wiadomości
20.05 „Miasteczko Twin Peaks" (7 — ost.) — serial prod. USA
20.55 „New York, New York"
21.35 Weekend w „Jedynce"
21.45 Kinomania — program Krzysztofa Gostkowskiego
22.15 Wiadomości wieczorne
22.30 Studio sport: MS w hokeju na lodzie
23.30 Program rozrywkowy
23.50 Jutro w programie

Program TV 2

14.55 Program dnia
15.00 Ulica Sezamkowa
16.00 Program publicystyczny
16.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
17.00 „Przychodnia wszelkich dolegliwości" (20) — serial prod. australijskiej
18.00—21.30 Programy regionalne
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Crime story" (40) — serial prod. USA
22.45 Legendy filmu
23.40 CNN
23.50 Program na jutro

panorama 997

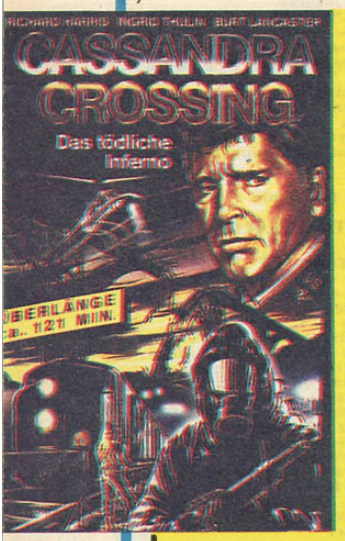

VIDEO TOP

SOMEONE TO WATCH OVERME (Osaczona) — thriller Wyst. Tom Berenger, Mimi Rogers. Reż. Ridley Scott

Podczas party nowojorskiej socjety jedna z kobiet jest świadkiem morderstwa. Jej śmierć oznacza dla zabójcy, że na procesie sądowym wina nie zostanie mu udowodniona. Clare otrzymuje ochronę osobistą. Rolę tę pełni m.in. świeżo upieczony detektyw Mike. Między dwojgiem ludzi zawiązuje się nić sympatii, ta zaś w końcu przeradza się w miłość.

Film, początkowo powolny w tempie rozwijającej się akcji pod koniec nabiera szybkości pędzącego ekspresu. Doskonała rozrywka.

A.W.O.L.. ABSENT WITHOUT LEAVE (Samowolne oddalenie) — sens. Wyst. Jean Claude Van Damme. Reż. Sheldon Lettich

W tym filmie widz odnajdzie wszystko: mafię, gangsterskie porachunki, miłość, nienawiść i śmierć. W roli tytułowej wystąpił europejski mistrz karate wagi średniej Jean C. Van Damme. Uważni widzowie mieli już okazję poznać tę postać w takich filmach, jak: Karate tygrys III, Czarny Orzeł, Krwawy sport. Szybkie tempo akcji, ciekawe sekwencje walk to główne walory tego obrazu.

MISSING IN ACTION II (Zaginiony w akcji) — wojenny. Wyst. Chuck Norris. Reż. Lance Hool

Od czasu zakończenia wojny wietnamskiej upłynęło już kilkanaście lat. Mimo to w dżungli nadal znajdują się obozy dla jeńców wojennych. W jednym z nich przebywa grupa kilkunastu Amerykanów, którzy oficjalnie zostali uznani za „zaginionych w akcji". Wśród uwięzionych dochodzi do buntu, którym kieruje płk Bradock (Chuck Norris). Czy uda im się odzyskać wolność i wrócić do kraju? Typowy film akcji, w niektórych sekwencjach wzorowany na „Rumbo".

ON THE BEACH (Ostatni brzeg) — futurystyczny. Wyst. Ava Gardner, Gregory Peck, Anthony Parkins, Fred Astaire. Reż. Stanley Kramer

Po zakończeniu wojny jądrowej w Australii ocalała nieliczna grupa ludzi. Jednak zbliżające się chmury radioaktywne i tej garstce niosą zagładę. Obraz przedstawia różne postawy ludzi czekających na dopełnienie się ich losu. Temat ponury, lecz jakże nadal aktualny. Wspaniałe kreacje aktorskie, doskonała reżyseria i wyśmienity scenariusz czynią z tego filmu (zrealizowanego w 1959 roku) widowisko, które na długi czas zapadnie w pamięci widzów. Koniecznie trzeba zobaczyć (nawet jeśli w przeszłości oglądało się film na ekranie kinowym).

VIDEO – KNOTY

THE BIG BET (Zakład) — kom. — infantylny pomysł na coś, czego nie da się oglądać.

FORBIDDEN WORLD (Zakazany świat) — s-f. Banalna intryga, banalne straszydła.

A KILLER IN THE FAMILY (Rodzinny gang) sens. — czegoś tak idiotycznego dawno nie zrealizowano.

PaS.

MYŚLI

Nudzić się może tylko ten, kto sam jest nudny.
Tadeusz Kotarbiński

Osiągnięciem i chlubą jednych jest to, że piszą dobrze. Zasługą innych — że nie piszą wcale.
Jean de La Bruyère

Istnieje taki rodzaj miłości, w której można nie obawiać się rywala. Jest nim miłość własna.
Władysław Lorenc

W każdym systemie napawa otuchą to wszystko, co zostaje z niego wyłączone.
Elias Canetti

Wszystko, nawet największe nieszczęście, byle się tylko nie nudzić.
Stendhal

Rys. W. Iwanow

ZAPAMIĘTAJ

Zdrowy rozsądek nazywamy instynktem. Gdy występuje w ilości dostatecznej — nazywa się geniuszem.
G. B. Shaw

METAMORFOZA

Zmieniając każdorazowo literę z zaznaczonego pola na inną i przestawiając litery, układać nowe wyrazy, aby od imienia żeńskiego dojść do imienia męskiego.

SYLWESTER LIPIŃSKI

Wśród Czytelników, którzy w terminie 14-dniowym nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda.

Rozwiązanie z nr. 3

Poziomo: Żyrant, eksponat, reżyseria, torpeda, ochotnik, aula, Eris, Rysy, loża, okaz, karb, adiutant, sabotaż, artyleria, obwoluta, łoskot.
Pionowo: Żary, Różycki, Nestor, kratka, patrol, numer, towarzysze, front, żeglarstwo, Arno, smak, kanarek, astral, bażant, wiata, Otello, objaw, żart.

Nagrodę wylosowała
Grażyna Drozd — Krynica.

Rozwiązanie z nr. 4

Poziomo: Nansen, Skopenko, obietnica, drabina, kontener, auto, unik, krew, Iran, plac, atom, urodziny, asonans, kawaleria, kanikuła, arenda.
Pionowo: Neon, Nairobi, esteta, kwadra, palant, nadir, oblatywacz, liana, numizmatyk okop, kara, Lengren, tragik, muskuł, mowa, szuler, Konin, Nana.

Nagrodę wylosowała
Zofia Nycz — Chełm.

Rozwiązanie z nr. 5

Niektórzy nawet Diogenesa wyrzuciliby z beczki, gdyby potrzebna im była na kapustę.

Nagrodę wylosował
Tadeusz Wójcik — Stalowa Wola.

i	s	a	d	o	r	a
					m	
m						
m						
m						
			m			
m						
k	l	e	m	e	n	t

WROTA DO AMERYKI

Od roku 1892 do 1924 przez Ellis Island (1,5 km od cypla nowojorskiego Manhattanu i 300 m od wyspy ze Statuą Wolności) przewinęło się 12 milionów imigrantów do Stanów Zjednoczonych. Dla jednych wyspa była „złotą bramą" do Ameryki, dla innych, którym odmówiono wstępu — „wyspą łez". Dziś to miejsce stało się muzeum pamięci dla stu milionów Amerykanów, których rodziny wylądowały niegdyś na Ellis Island.

Rzeczywistość mitu o Ziemi Obiecanej była twarda. Było to miejsce przykre, gdzie komedia ludzka przybierała formę skondensowaną. Na Ellis Island zawierano pospieszne małżeństwa, aby kobieta mogła uniknąć odesłania z powrotem, kiedy nie była w stanie wykazać się wystarczającym źródłem utrzymania. Popełniano tu również samobójstwa (tysiąc zapisanych w rejestrach). Nie odrestaurowane jeszcze budynki na wyspie dają wyobrażenie, jak miejsce to mogło oddziaływać na psychikę przybyszów. Lazarety, przytułki dla chorych umysłowo, noclegownie, pomieszczenia dla zakaźnie chorych oraz odbywających kwarantannę, kostnica.

Tylko przed nielicznymi kandydatami na imigrantów (2 proc.) zatrzasnęła się brama Ellis Island. Zdarzało się jednak, że rozłączano rodziny. Pewna włoska rodzina pamięta do dziś, jak odmówiono wstępu do USA babci, ponieważ... miała zdeformowany palec. Babcia powróciła do Europy i nigdy już nikogo z bliskich nie zobaczyła.

(M)

FRASZKI

NIE TRUDNO

Dajesz uciąć głowę?
— To żaden dylemat:
Nie trudno jest oddać
To, czego się nie ma.

ŻĄDNI NOBILITACJI

Gotowi sprzedać duszę
Za herby i kontusze.

GRANICE?

Zamazały się granice
Między chłopem a szlachcicem.
Tylko przyszły czas pokaże,
Czy jest siła, co je zmaże.

Krystyna Sylwestrzak

Etniczne USA

Dane spisu powszechnego z 1990 r. dotyczące grup etnicznych w USA wykazują, że liczba Murzynów wzrosła o 13,2 proc. (w porównaniu do 1980 r.) i osiągnęła poziom 30 mln. Latynosów jest 22,4 mln (wzrost o 53 proc.), Azjatów i mieszkańców pochodzących z wysp Pacyfiku przybyło 107,8 proc. (razem 7,3 mln), amerykańskich Indian jest około 2 mln (wzrost o 37 proc.). Biali stanowili 80 proc. ogółu liczącej 248,7 mln ludności kraju. Uwaga! W danych spisu Latynosi mogą również figurować jako członkowie innych grup etnicznych, jako biali lub czarni.

B.